PISMA

AUGUSTA WILKOŃSKIEGO

Tom III.

WYDAWCA:
ADAM KACZURBA W KRAKOWIE.

KRAKÓW.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI ARCYDZIEŁ".
1888.

W Krakowie. — Czcionkami drukarni J. Fischera. — 1888.

SZKICE PSYCHOLOGICZNE
NIEKTÓRYCH LUDZI-ZWIERZĄT.

PRZEDMOWA OSTRZEGAJĄCA.

Kogokolwiek rażą jasne wyrazy, niechaj poniżéj umieszczonych szkiców psychologicznych nie czyta. W rozmowach salonowych jedwabne słówka popłacają, ale nie na polu prawdy, gdzie stają się niedołężnością; gdzie przystępne dla ogółu, zrozumiałe a więc proste orzeczenie jest najpierwszym pisarza warunkiem. Nadto, nie są to rozprawy na metafizyce oparte, ale spostrzeżenia chirurga filozofii, który rżnie prawdę a o resztę nie pyta.

Wstęp pierwszy.

Ludzie — każdy po szczególe i wszyscy w ogóle — są głupimi!... ale jedni są mniéj głupi, drudzy więcéj głupi. I z téjto różnicy głupstwa, rościmy sobie prawo do nazwy rozumnych: np. Piotr ma 70 stopni głupstwa, Paweł 30, Andrzej 20, Kazimierz 6, a ja tylko 3 stopnie; — wówczas Piotr jest srodze głupi, Paweł bardzo rozumny, a ja będę najrozumniejszy!... to jest podług powszedniego sądu ludzi; — gdy tymczasem objawiając szczerą prawdę — ani Andrzéj, ani Kazimierz rozumnym nie jest; a nawet i ja! — rad nie rad, do głupców policzyć się muszę. Proszę mi wierzyć, że tak jest niewątpliwie; dowodów na

to przytaczać nie widzę potrzeby; chybaby kto stanął mi w oczy i okazawszy świadectwo od lekarza, że jest zdrów na ciele i umyśle, wyrzekł: «jam przedmiot i podmiot na wskróś przeniknął; — jam w życiu mojém nigdy głupstwa nie popełnił»! w takim razie wdam się w dowodzenia i jak Bóg Bogiem dowiodę każdemu, że łże! — W mocném przekonaniu, że się nikt nie stawi, któryby żądał dowodów swojego głupstwa, w założeniu ogłaszam i za filozoficzny przyjmuję pewnik, że każdy jest głupi. — Com dotąd wyrzekł, proszę uważać za wstęp pierwszy, jak to u góry napisaliśmy.

Wstęp drugi.

Każda ludzka istota, różniąca się od zwierząt nie mową i rozumem, jak to ś. p. Kopczyński mylnie powiedział, ale jedzeniem potraw gotowanych, skoro przechodzi 100 pomiarów głupstwa [1]), przestaje być człowiekiem i zmienia się w ludzkie zwierzę, czyli staje się człowiekiem-zwierzęciem. — O tych to ludziach-zwierzętach mówić zamierzyłem.

Wykład téj obszernéj nauki przechodzi granice pracy jednego człowieka, albowiem, ile jest zwierząt, tyle téż i rodzajów ludzi-zwierząt napotykamy; ja więc tylko niektóre rodzaje oszkicuję,

[1]) Przez głupstwo nie rozumiemy samych stopni braku nauk, przebiegłości, sprężystości i bystrości umysłowéj, ale niemniéj i stopnie braku uczuć serca i uczuć ducha i stopnie ślepoty na cel i przeznaczenie człowieka.

wprawdzie nie z należną dokładnością, ale bo też i trudno być dokładnym w zbadaniu człowieka-zwierza, który często rządzi się namiętnościami jednocześnie kilku zwierząt.

Szereg pierwszy.

Małpy.

Małpy są ze zwierząt ludzi najliczniejszym rodzajem i dla tego też jest ich po całym świecie ilość nieskończona. Są małpy salonowe, literackie, wielko-miejskie, mało-miejskie, artystowskie, rzemieślnicze, chłopskie, zgoła wszelkiego stanu i powołania; nadto męskie, żeńskie i nijakie; stopnia równego, wyższego i najwyższego; odbywają małpiarstwo przez wszystkie czasy, osoby i przypadki, z tysiącem najrozmaitszych podziałów i odcieni. — *Człowieka-małpy znamieniem jest bezrozumne, szybkie naśladownictwo.* I tak pokaże się ktoś dzisiaj na ulicy w kusym ubiorze srokatym, z pewnością nazajutrz napotkasz sto małp-ludzi w kusych, srokatych sukienkach, bez żadnego względu na okoliczności ich życia, na porę czasu, na zdrowie i przyzwoitość; za tydzień spostrzeżesz dwieście, w miesiąc do tysiąca małp-ludzi srokatych, kuso ubranych; i liczba ta będzie wzrastała do setek tysięcy, dopóki znów jaki orangutan modelowy nie ukaże się w ciemnéj długiéj opończy, a wówczas na nowo spostrzeżesz sto, tysiąc, pięćdziesiąt tysięcy małp-ludzi w ciemnych długich opończach.

Jerzy założył wielką gorzelnią, bo daleki przewóz zboża i obfitość lasu tego rodzaju przemysł przez rozumny rozbiór nastręczyły; — aliści w rok potém Ignacy małpa, Jan małpa, Stefan małpa, Grzegorz małpa, i 300 małp innych pospieszyło jakby na wyścigi z wystawieniem ogromnych gorzelni, pomimo że nic ich nie zmuszało do pomnożenia tego szatańskiego źródła niedoli naszego biednego wieśniaczego ludu.

Pojechał chory bogacz do wód zagranicznych dla poratowania zdrowia, trzy tuziny małp - ludzi wlecze się za granicę z nadwerężeniem swojego szczupłego majątku.

Niechaj w zbytkach tonący hrabia dla rozerwania nudów, albo wielki przedsiębiorca dla pozyskania przychylnych zdań, wyprawi bal świetny, niezawodnie téjże saméj nocy jeszcze kilkanaście małpeczek suszy mężulom główki, aby i oni co rychléj bal wielki wyprawili. Zgoła w każdém zdarzeniu, przy każdéj okoliczności, ludzi-małp, małpeczek i małpiątek jest olbrzymia obfitość, i gdyby np. w kraju naszym tysiąc szybkopisarzy od świtu do zmierzchu spisywało codziennie dowody małpowania naszych ludzi-zwierząt, jeszczeby ani 10-ta część czynów małpowanych do kroniki głupstwa ludzkiego zachowaną być nie mogła; — bo jakżeż rzadko, bardzo rzadko trafia się u nas taki człowiek, któryby nie małpował, któryby czynności swoje na przekonaniu rozumu opierał, alboli téż w naśladowaniu czynów, godnych natury małp-

zwierząt nie zdradzał. — Pilne zastanowienie się nad naszém przeznaczeniem, badania czysto umysłowe przed rozpoczęciem każdéj czynności, to są jedyne lekarstwa, zapobiegające przeciw zarażeniu się przywarami małp ludzi-zwierząt w stopniu wyższym, bo stopień niższy jest podobno niestety! przez nieodgadnioną niełaskę wszech mamy (natury) w naszą ziemską istność niejako wpleciony; jakoż wszechmama przy utrzymaniu powierzchowności zwierząt, małpy najwięcéj do ludzi podobnemi uczyniła.

Szereg drugi.

Osły.

Nie masz jednego zakątka na całéj ziemi, któryby nie był siedzibą osłów. Wprawdzie małp jest najwięcéj na świecie, ale i osłów gromady są liczby olbrzymiéj; — bo proszę mi powiedzieć, kiedy to, w którym to stanie, w którym zawodzie na osłach zbywało?... Czyż oddawna nie widzieliśmy i dzisiaj nie widzimy osłów, o! bardzo wielkich osłów w naszém rolném gospodarstwie? czy nie widzimy osłów pomiędzy lekarzami, artystami, zgoła w każdym zawodzie i o zgrozo! nawet pomiędzy literatami! Nie szukając daleko w samejże Warszawie iluż to osłów literackich!... np. ten jegomość, który napisał...?... *prima aprilis*, nie powiem. O złośliwy czytelniku! tybyś może rad był czytać w alfabetycznym porządku wydruko-

wany quasi-kalendarzyk wszystkich dziś czesnych osłów literackich?... A jakbyś tam i swoje znalazł nazwisko?... hę... miłoby ci było?... Nadto chcąc drukować listę osłów literackich, należałoby wedle ścisłéj sprawiedliwości wydrukować i osłów z innych kategoryi, przez co ja, biedny chirurg filozofii, mógłbym popaść w tarapaty, uwieńczone zwierzątkiem brodatem, za które, znając je dobrze, najuniżeniéj dziękuję; — mówić w ogólnikach to wcale co innego.

Osły - ludzie dzielą się na młode osły i na stare osły; na osły kamiennego uporu i na osły najwyższéj powolności; na osły ryczące, głośne i na osły pokorne; nakoniec na wielkie osły i na małe osły. — W tym gatunku ludzi-zwierząt płeć męska wyłączną odgrywa rolę. — Szkoły są dla osłów pierwszém polem popisywania się z tępem pojęciem, z lenistwem, z obojętnością duszy i serca; wszakżeż zdarza się, że te same osły w dojrzalszym wieku bywają bardzo pilne w mało-pożytecznych pracach i bardzo czułe w miłości; ale jest to najpocieszniejszy widok, osieł rozamorowany (rozkochany).

Powszechnie osły z łatwością i pięknych i bogatych żon dostają; anatomią przyczyn fizycznych i występne kobiet rozumowanie w téj mierze, jako zbyt zasmucające, pomijam, a raczéj objawię cześć dla tych dziewic, które pogardzają osłami.

Szereg trzeci.

Niedźwiedzie.

O ile marmurek lis, pies i pies z ogonem, (o których niżéj), najwięcéj do miast się cisną, o tyle niedźwiedzie najchętniéj po wsiach się sadowią. Człowiek-niedźwiedź zawsze nadęty; grzeczność i uprzejmość poczytuje za słabość charakteru i unika tych przymiotów, rozumiejąc że jego niedźwiedzia mość ubliżyłaby swéj ogromnéj godności, gdyby dla kogo grzeczność i uprzejmość okazała. Zwykle niedźwiedzie chorują na suchoty mózgowe, ale co do ciała na samejże *personie* są w kwitnącym stanie. Stare niedźwiedzie miewają czasem tę istotną zaletę, że są szczeremi, otwartemi i rzetelnemi w słowie; u młodych niedźwiedzi i o te zalety najczęściéj napróżno się spytasz. — Niezgoda w publicznem, gnuśność w prywatném życiu, są także od niedźwiedziego rodu nieodłączne. — Żyją wystawnie, z pracy ludzi innego gatunku.

Szereg czwarty.

Lwy, Lwice i Lamparty.

LWY.

Po najwykwintniejszym, częstokroć zarazem i najdziwaczniejszym stroju, po zapachu najdroższych olejków, po najmodniejszem ugładzeniu długich kudłów, lub też w odwrotnéj ostateczności,

po krótko, bo aż przy saméj skórze strzyżonym włosie, — co mimowolnie przypomina szczecinę nierogacizny; — po osobliwszych zarostach twarzy, po butném spojrzeniu, bez wielkiéj trudności poznasz lwa; a gdybyś najmniejszą miał wątpliwość, wpatrz się pilniéj, na jego czole wyczytasz lekko ścieniowane wyrazy: «wielki człowiek do małych interesów».

Lwów i lwic dawnemi czasy dostarczały nam wyłącznie książęce, hrabiowskie albo bardzo zamożnéj szlachty rodziny; — dzisiaj przez cywilizacyą XIX stulecia z każdego bezwyjątkowo stanu łonią się lwy i lwice i dla tego mamy ich téż teraz pod dostatkiem. — Lew w wielkich miastach odbywa nowicyat, w wielkich miastach dojrzewa, w wielkich miastach traci kwiat swojego życia i w wielkich miastach w nędzy, nierzadko z głodu umiera. Lwy odznaczają się chęcią górowania i ztąd zapewne przyznano im nazwę lwów. Są to panowie wspaniałomyślni w wydatkach pieniężnych, odważni w zaciąganiu długów, silni potęgą uczuć dla płci pięknéj, którą aż do szaleństwa uwielbiają, dla któréj zaniedbują najświętszych obowiązków; samę nawet naturę lwów utracają, przeistaczając się stopniowo na osły i orangutany.

LWICE.

Błyszczyć na całą stolicę, rozrzucać śmiałemi spojrzeniami na wszystkich i wszędzie, lekceważyć zwyczaje bogobojnych i skromnych niewiast a na

drodze emancypacyi, z cygarem w ustach, z kieliszkiem szampańskiego wina w drobnéj rączce postępować bez rumieńca wstydu, oto jest lwic ogólny zarys. Pod względem zmysłowości lwice bywają bardzo przyjemnemi zwierzętami, — ale ani głębokiéj, prawdziwéj czci ani szczerego uwielbienia godnemi nie są. Biada niedoświadczonemu młodzieńcowi, który lwicę pokochał, gdyż miłość lwicy nie zna zawarcia się w granicach jedności.

LAMPARTY.

Młodzież płci męskiej, rozwiozła, zupełnie o obowiązkach swojego powołania zapominająca, hulaszcza, próżniacka, bezbożna, a przytém bezprzestannie za najgrubszéj zmysłowości zabawami goniąca, lekkomyślna i zuchwała, dzierży nazwę lampartów.

Miasta są ojczyzną tego rodzaju zwierząt, nasza Warszawa nie jest ubogą w miejscowych lampartów, a nie zbywa jéj i na przyjezdnych. — Lampart z lampartem przez skórę się poczuje, natychmiast się zaprzyjaźni i pobraci, ztąd téż bardzo rzadko pojedynkiem chodzi. Lampart wieczorną i nocną porę przenosi nad światło dnia; bilardom, brudnym kawiarniom i rozmaitego gatunku szynkowniom daje ulubione pierwszeństwo przed domami uczciwych rodzin; brzydzi się literaturą, najznaczniejszą część swoich stałych i niestałych dochodów składa na ofiarę gier hazardowych, przy których traci ostatni grosz swojego

mienia; poczém nienawykły do pracy przechodzi w poczet oszustów i złodziejów i kończy życie w więzieniu.

Szereg piąty.

Gęsi.

Czém jest osieł w ludzkiéj płci męskiéj, tém jest gęś w ludzkiéj płci żeńskiéj ale jeszcze z większém (jeżeli być może) ograniczeniem umysłowem. — Kobieta-człowiek zwykle jest przenikliwą, w najwyższym stopniu instynktową, delikatnością uczuć celującą; — gdy przeciwnie kobieta-gęś jest tak głupią i na wszystko obojętną, że nawet nie posiada zdolności kobiety-małpeczki. Młode gęsi czyli gąski, zazwyczaj na wsi wychowane, są o tyle łatwowiernemi, że je nietylko każdy lis ale i pierwszy lepszy gawron w pole wyprowadzi.

Szereg szósty.

Gawrony.

Lubo po gęsiach rzeczywiście sroki i papugi następują, jednakże gdybyśmy przy gęsiach spomnieli o gawronach, nadto dla urozmaicenia płci i ze względu na pokrewieństwo [1]) niechaj gawrony idą za gęsiami.

---

[1]) O pokrewieństwie ludzi-zwierząt, o zbliżaniu się ich charakterów, usposobień, zdolności i t. d., jeśli mnie Bóg przy zdrowiu i życiu zachowa, na rok przyszły wykończę osobną, oryginalną genealogiczną tabelę ludzi-zwierząt, z dołączeniem bardzo pięknie malowanych dyplomów.

Gawrony zawsze płci męskiej, lęgną się po wsiach i po małych miasteczkach; ale skoro się wypierzą, najchętniéj w wielkich miastach goszczą, gdyż nadzwyczaj i szczególniéj lubią zbiegowiska ludzi i jaskrawe albo świecące się przedmioty do bezmyślnego oglądania.

Gawrony są nielitościwemi tępicielami czasu, próżniacy z rzemiosła, z głową pustą, z sercem niewybredném, z duszą mozajkowaną najrozmaitszego koloru szkiełkami, przez które bez wyboru na wszystko z głupią ciekawością patrzą, nie zatrzymując jednakże ani śladu karmy duchowéj. Dla tego prawdziwy gawron zwykle nie umie sobie zdać sprawy, z jakiéj przyczyny gapił się przez godzinę nad stawianiem rusztowania przy kościele, dla czego roztworzył usta czyli rozdziawił dzióbgębę na widok przejeżdżającéj bryki furmańskiéj, przelatujących u góry dzikich gęsi, goniących się psów po ulicy i t. d. [1]); — on gapi się, gawroni

[1]) Złodzieje swoje drobniejsze potrzeby opędzają kosztem gawronów; najpospolitszy sposób jest następujący: Złodziej nibyto nienaumyślnie tłucze babie garnczek mleka, baba wrzeszczy, lecą tłumem ze wszystkich stron gawrony, przysłuchują się wszczętéj kłótni daleko pilniéj, aniżeli wykładanym niegdyś w szkołach naukom, gapią się i nad kierunkiem strugi rozlanego mleka, tymczasem giną ich chustki od nosa, tabakierki, zegarki, częstokroć i sakiewki lub pugilaresy. — Albo, namówiony łotr pada na ulicy i udaje pijanego; czeladź złodziejska nie pró-

bez uczucia i bez myśli, a rozmaitość sennych marzeń, z wieczora gdy się spać położy, jest jedyną jego próżniaczych trudów nagrodą. Godziny, dni, miesiące, życie całe upływa gawronowi w umysłowym letargu; a gdy i śmierć wreszcie nadejdzie, jeszcze nie rozważy, po kogo przyszła ale się zagapi na klepsydrę, kosę i łopatę, i będzie się dziwił silnemu zamierzeniu i z rozwartą gębą przejdzie do czysca, gdzie go przez tyle lat rózgami ćwiczyć będą, ile godzin czasu zmarnował na gapieniu się w życiu ziemskiem.

Szereg siódmy.

Sroki i Papugi.

SROKI.

Gdy kobieta bez ładu i szyku skradzionemi wyrazami skrzeczy o tém, czego wcale nie rozumie, jest to kobieta-sroka. Czasem rozśmieszy, ale w końcu zawsze zniecierpliwi mężczyznę, W młodym wieku są niewysłowioną serc wszystkich babuń i dziaduniów pociechą i nadzieją; u nich się też zazwyczaj wychowują. — Stara sroka jest zawsze nieznośną.

PAPUGI.

Z tego samego gniazda co sroki. Papuga powtarza bez wyboru wszystko, co słyszała, ale się

żnuje. Przy wywieszonych na sprzedaż rycinach, przy oknach biżuteryami napełnionych, jest znów zwykła nigdy nie próżna stójka gawronów i od nich nieodstępnych złodziejów.

nie wdaje w żadne rozprawy. Kto żąda poznać tajemnicę jakiéj rodziny, niechaj się zaprzyjaźni z papugą a z pewnością w kilka godzin wszystko będzie wiedział, potrzebne i niepotrzebne szczegóły drobiazgowe, ważne i najważniejsze wypadki. — Papugi od urodzenia wiecznie chorują na świerzbienie języka i dlatego ciągle nim w ustach mielą i to też jest ich najpewniejszą poznaką. — Wszystkie pomiędzy ludźmi nieporozumienia pochodzą z winy papug a i wielkie nieszczęścia nieraz na ich ciężą sumieniu.

I sroki i papugi są w plotkarstwie mistrzyniami,

Szereg ósmy.

Marmurek, Lis, Pies i Pies z ogonem.

MARMUREK.

Marmurki krążą po całym świecie, jednakże wielkie miasta są ich najulubieńszem siedliskiem. Każdego rodzaju *śmietanka* jest dla nich najmilszym przysmakiem i do niéj nigdy nieugaszone czują pragnienie. Marmurek ma zwykle niewinne i skromne ułożenie; jest łagodny, rozsądny, dobrowolny, uprzejmy, słodki, manifestuje się poczciwością ale bez przysiąg i zaklęć, bo po większéj części przekonywa rozumowaną prawdą; niemniéj przecież obok téj prawdy przy każdym interesie tak umie rożen obracać, że dla niego najlepsza cząstka pieczeni przypadnie. — Marmurek bezpośredniem oszustwem i niezgrabném kłamstwem po-

gardza, natomiast zyski wyrafinowane, w niczém kodeksu Napoleona nie obrażające, mądrością być mieni. Jeżeli marmurkowi zrobisz zarzut, że w jego czynnościach jest brak uczuć obywatelskich, odpowie, że jest ojcem licznéj rodziny, że działa zgodnie *z rozumem* (?!), że w niczém sumienia nie obraził; — nakoniec w nagłéj potrzebie Bogiem się zaświadczy i ciężko westchnie. Marmurki w społeczeństwie nie są arystokratami, niemniéj przeto demokratów pilnie się strzegą, — żadnych poświęceń nie znają, dobrze czynią wtenczas tylko, gdy tego ich własny interes lub konieczność wymaga. — Marmurek nikogo nie obrazi ani rozgniewa, ale także żadnego serca nie rozpłoni; wielki posag przenosi nad wszystkie wdzięki niewieście; jest mężem znośnym ale nie uszczęśliwiającym; — dzieci swoje z najdrobniejszéj młodości sposobi na spekulantów, bo w oczach starego marmurka przebiegły spekulant jest *najwyższą* rozumu ludzkiego potęgą!

LIS.

Równie jak marmurek miasto nad wieś przenosi. W powierzchownych oznakach lis mało się różni od marmurka; pilnie przecież badając, znajdziesz, że jego spojrzenie zawsze jest chytre a uśmiech w jednéj godzinie rozmaite przybiera odcienia i zmiany. — We wszystkich życia stosunkach lis zawsze i wszędzie najusilniéj się stara o zaufanie, aby z tego zaufania mógł korzyść

i zysk dla siebie osiągnąć. — Lis potakuje głupcom, chwali każdego, ludzi rozumnych unika, lęka się przenikliwości kobiecéj, *gąski* za najsmaczniejszą przekąskę uważa, czepia się bogatych, od ubogich stroni; w charakterze jego jest wiele podłości, często się w psa zamienia.

PIES.

Pies ma wszystkie niecne przymioty lisa z tą różnicą, że lis stara się o dobre imię i ostrożny jest w wyborze środków, pies na nic nie zważa, byleby zyskowną zdobycz pochwycił; lis zdradzi zaufanie, pies i rodzonego sprzeda brata; lis chytrością zdobywa, pies z całą bezczelnością kradnie otwarcie; lis na woskowanych posadzkach lubi się ślizgać, pies przez błoto, przez najobrzydliwsze kloaki wciska się po osiągnienie zamiaru.

Pies na cudzém nieszczęściu swoje szczęście buduje.

Smutną nakoniec jest ta prawda, że, gdy w czystym rodzie zwierząt, pies obok wielu nikczemnych własności posiada niezaprzeczenie i chwalebne przymioty, jakoto: wierne przywiązanie do swojego chlebodawcy pilność, w strzeżeniu domu lub owiec i chętną pracowitość w usługach myśliwskich, — w rodzie ludzi-zwierząt człowiek-pies *żadnemi*, *zgoła żadnemi* zaletami poszczycić się nie może.

PIES Z OGONEM.

Wszystko, co na ziemi hańbi i poniża, człowiek-pies z ogonem w sobie połączył. Religią, filozofią,

cnotę, honor i miłość poczytuje za urojenie głupców. Łzy ludzkie to jego napój; jęk rozpaczy to harmonia jego duszy!...

Psa z ogonem poznasz łatwo po wiecznie ponurém i jakoby zakrwawionem spojrzeniu; — jestto ostrzegający odcień wrzącego w jego piersi piekła. Twierdzą, że kruki nie chcą pożerać ścierwa psów z ogonami, uważając je za zbyt podłe.

LISTY
JANA SKÓRCZYKIEWICZA

PISANE DO MNIE W ROKU 1827.

(I autor tych listów i osoby, o których donosi, — wszyscy pomarli na cholerę).

LIST I.

Kochany Auguście!

Twoja nieobecność w Warszawie podczas mojego odjazdu pozbawiła mnie téj tkliwéj przyjemności, jaką znajdujemy w pożegnawczym uścisku drogiego nam przyjaciela. List twój odebrałem dopiéro przed kilku godzinami; odczytałem go trzykrotnie, wdzięczen ci jestem za wyrażone w nim uczucia, o których szczerości wątpić nie mogę; — dziękuję ci za udzielone mi rady na moję nauczycielską pielgrzymkę, będę z nich korzystał o ile okoliczności dozwolą. Żądasz łaskawie, abym do

ciebie pisywał i bardzo często i bardzo wiele, a więc czynię początek; jest serce ku temu, znajdzie się i wątek, i rozumiem, że dobrą miarą stanie się zadosyć woli twojej.

Wyjechałem z rynku Starego-Miasta o 9-téj rano; ale ponieważ wstąpiłem jeszcze do kilku sklepów po maleńkie sprawunki, przeto dopiéro o godzinie 10-téj stanąłem u Jerozolimskich rogatek, zkąd oglądając się po raz ostatni na kochaną i niekochaną Warszawę, było mi żal i byłem rad, żem z niéj wyjeżdżał, — bo ileż tam uczuć moich pogrzebionych zostało a ileż się nowych zrodziło!...

Wspomnienia 18-tu miesięcy, które spędziłem w Warszawie, wiły się w mém sercu różnobarwną tęczą, umysł silnego doznawał wrażenia przez rozbiór świeżéj a niezwrotnéj przeszłości, i nie spostrzegłem, że już milę drogi ujechałem, dopiéro pobożny pokłon woźnicy zwrócił uwagę, że omijam miejsce, które z tobą w najuroczystszéj chwili życia naszego zwiedziłem. Kazałem zatrzymać konie, zeskoczyłem z bryczki, zbliżyłem się do wizerunku Boga-Rodzicy, oko moje długo spoczywało na martwych wyrazach, — łza męska cicho płynęła po licu.

W Raszynie idący na siano-zbiór chłopek śpiewał: «da-na-da-na-da-na — jakżeś ty kochana». Dawno już nie słyszałem téj piosnki: — cześć piosnkom kmiotków naszych, jest w nich głos ludu nieskalany naśladownictwem, głos poczciwéj, swojackiéj duszy.

Tarczyn przypadł na popas; dom zajezdny dosyć porządny, w gospodarzu poznałem pedela byłego uniwersytetu warszawskiego. Mąż ten znamienitego pożytku miał na pogotowiu rosół z francuskiemi kluseczkami, wołową pieczeń prosto z rożna, duszoną kapustę i mizeryę z ogórków. Kiedy byłem malcem, kochana matka moja przez nieograniczoną troskliwość, abym nie zaziębił żołądka, nakłaniała mnie bardzo często do ciepłego rosołu, którym dotyla się nasyciłem, że chyba na starość będę miał ku niemu żądanie, a więc w Tarczynie rosół na stronę odstawiwszy, wdałem się w rozmowę z pieczenią, i gdym ten dyskurs ukończył, ani śladu nie było, dokąd trzechfuntowy kęs wołu odjechał. Kapusta okazała się nieodstępną przyjaciółką pieczeni, mizeryą zostawiłem dla tych szczęśliwszych, którzy nie znają jeszcze mizeryi; — mnie dała się ona pod różnemi postaciami we znaki, a w przeszłym roku w swéj ostateczności aż mnie pod podeszwy łechtać zaczęła, — szczęściem, że poczciwy szewc zakredytował lekarstwo. Panie, świeć nad duszą owego szewca; utonął bieżącego roku, przewożąc się podczas powodzi na Wiśle, a jakiś osieł, pełniący obowiązki wójta gminy, donosząc o tém wyższéj władzy, napisał:

«Oprócz wielkiéj szkody, poniesionéj w drzewie, w kartoflach i sianie, nastąpił jeszcze w dniu 27 b. m. przypadek niezwyczajny, gdyż albowiem przewoźnicy wbrew moim rozkazom zabrawszy więcej ludzi aniżeli należało, stali się przyczyną,

że łódź na środku Wisły przewróciła się, skutkiem czego utonęło 3-ch obywateli, 7-miu ludzi, 2-ch żydów i jeden szewc, który się niedawno z Warszawy do naszéj gminy, jak się pokazuje na swoje nieszczęście sprowadził». Biedny! ani do obywateli, ani do ludzi nawet po śmierci policzonym nie został. Ależ podług zdania onego pełniącego obowiązki wójta gminy, także obywatele i żydzi nie są ludźmi; wieleby o tém było mówić. Pomijając najniesprawiedliwsze definicye o ludziach i obywatelach, jadę daléj. Owóż tedy w Tarczynie skrzepiwszy mój żołądek, zapewniony, że woźnica nie głodny, gdy i konie wiązkę siana i cztery garnce owsa kubełkiem jednym i drugim wody popłuknęły, ruszyłem ku Grójcowi. Wielkim zaiste jest wynalazek, za pomocą pary po żelaznych sztabach z wiatrami się ścigać, ależ i na żwirowéj drodze rączemi końmi podróż także leniwą nie jest i nie wiem, czy więcéj jak dwa rozdziały z «Latarni Czarnoksięskiej» [1]) przeczytałem, kiedym wjeżdżał na rynek miasta Grójca.

— Stój! cóżto za zbiegowisko ludzi? a sami żydzi! Zdaje mi się, że jakiś wóz obstąpili.

— Proszę pana, może rabin zdaleka przyjechał, a musi być sławny.

Dzieląc domysł Józefa, zeskoczyłem z bryczki, warto sławnego człowieka zobaczyć: — biegnę, rozpycham, cisnę się, aliści to nie rabin, lecz dwie

[1]) Powieść J. I. Kraszewskiego.

beczki z rybami, do których się półtora tysiąca izraelskiego plemienia z wrzaskiem: *„a! Fisch! a! Fisch!“* gwałtownie tłoczyło.

— «Czy to od jegomości te ryby»? — spytał mnie rudobrody żydek.

— A dlaczegóż się pytasz?

— «Bo jabym wszystkich razem zakupił, nie miałby wielmożny pan żadnego turbacyi, a tak to oni rozkradną, oszukać będą chłopa, ja jegomości zapłacę papierowemi pieniędzmi, albo grube srebro, — *rendels“*.

— I cóżbyś dał za te dwie beczki?

Ledwom wymówił «cóżbyś dał?» jak mnie szarpnie żyd drugi, jak krzyknie «jelmożny panie, on *kapson*, on nie kupi, ja kupię»; jak pochwyci trzeci, czwarty i piąty, ten w prawo ów w lewo, jak mnie zaczną szamotać i z rąk sobie wydzierać, rozumiałem, że ani kawałka ubioru nie zostawią na mnie. Bóg łaskaw, że miałem trzcinę w ręku, a więc z przodu i z tyłu, na prawo i na lewo machać począłem, przez co uzyskałem wprawdzie 3 łokcie wolnego okręgu, ale nie pozbyłem się napaści.

— «Na co bić? — poco bić? dlaczego bić? kto widział bić? — *Stille! Stille!* Co jegomość chce za te ryby».

— Spytaj się tego, do kogo należą a nie mnie.

— *„Wus ist das“?...*

— *Das ist das*, że to nie moje ryby.

— *„Hast du* gesłyszał, nie jego ryby a on

kijem będzie bić, czy to tutaj rozbój. Czy to wason myśli, że na lesie, albo że w naszego mieście nie ma ratusz. *Aj! waj! Gewalt! hat geschlagen! hat geschlagen! Gewalt"!*

W mgnieniu oka półtora tysiąca żydów i żydówek odbiegło wóz z rybami i razem mnie otoczyli; nadto ze wszystkich ulic i zakątków, ze wszystkich domów murowanych i drewnianych, biegli swoim na sukurs starzy żydowie i żydówki; bachorzęta jakby gradem rzucił; — wyrazy: *Gewalt! hat geschlagen!* w jednéj chwili urosły do potęgi 4000 głosów. Nie przeczę, że Achilles pod Troją, o ile Homerowi wierzyć można, goniąc Hektora i mordując tysiączne zastępy wrogów, cudów męstwa dokazał i nieulękłą zajaśniał duszą; — lecz niechaj i mnie świat odda sprawiedliwość, że do tchórzów nie należę, gdym ja jeden *Goj* na cztery tysiące Izraelitów uderzył!... Ileby guzów z téj bitwy wynikło, tego oznaczyć nie umiem, gdyż nieprzyjaciela dosięgnąć nie mogłem; bo jak stada drobnych ptaszął przed lotem orła pierzchają, tak tłumy, zalegające mi drogę, przed każdém zamierzeniem trzciny szybko na obiedwie rozsuwały się strony, a w natłoku lecące na ziemię kapelusze, czapki i jarmułki były uzupełnieniem dowodów zwycięstwa! — O wy dziewiętnastego stulecia bardowie, gdzież wasze lutnie, że dotąd szczegóły téj walki są w uściech ludu obcemi! — Niechaj przynajmniéj dziejopis rylcem surowéj prawdy na kartach historyi objawi, żem pędząc przed sobą

ludność niemal całego miasta, szczęśliwie stanął w ratuszu; — niechaj potomności opowie, że gdym zastępcy pana burmistrza rzecz sporu objaśnił i rozdarte poły mojego surduta okazał, — na jego zapytanie: — «Którzysz to żydzi dopuścili się tego gwałtu?» — żydowie do domów uciekli, a kobiety do ryb wróciły, — a kiedym się obejrzał ku wyśledzeniu sprawców, już przed ratuszem nikogo z dorosłych nie było a i ćma bachorząt, — każde za swoim *Tatele* zmykając, jednocześnie z przed oczu zniknęła.

Podziękowawszy panu zastępcy burmistrza za łaskawą chęć zadośćuczynienia i zrzekając się protokółu sprawy, wsiadłem na bryczkę i z zachodem słońca opuściłem Grójec, miasteczko dotąd słynne wielką liczbą żydowskiéj ludności, a więc handlem, — odtąd zaś przez moje zwycięstwo należące do historyi męstwa i odwagi, przy któréj czyny pod Mazagranem, gdzie trzysta Francuzów obroniło się dwunastu tysiącom Arabów, zaledwie na wspomnienie zasłużyć mogą; jakże bowiem jest maluczki stosunek męstwa 300 do 12,000 przeciw stosunkowi 1 do 4000.

Opis szczegółów dalszéj podróży pomijam, bo nie są ciekawe i pilno mi jest do głównego celu, nawiasem powiem tylko, że nocowałem w Białobrzegach, w maleńkiém miasteczku, które się zaszczyca dobrze zbudowanym mostem na Pilicy; i wygodną austeryą na piasku, a wstydzi się za lichy kościołek drewniany. Za Białobrzegami jadąc

ciągle na prawo, widziałem ubogie wioski, trzypolowe gospodarstwa, lasy wytrzebione, karczem gorzałczanych poddostatkiem. Nakoniec po dwóch popasach i trzech wytchnieniach zajechałem przed pałac w Nadymnicy. Lokaj w pięknéj barwie, dobrze karmiony, wybiegł na kamienne wschody i przedewszystkiém zawiadomił mnie, że należało mi zajechać przed oficynę a nie przed pałac.

— A to dlaczego kochanku?

— Bo pan zapewne przyjechał do zastępcy wójta gminy albo do komisarza.

— Przyjechałem do pana barona.

— Ale taka bryczka przed pałacem stać nie może.

— To wynieś z pałacu parawan i zasłoń ją, tymczasem prowadź mnie do swego pana.

Poszedł moją śmiałością zdziwiony lokaj i wrócił niebawem, mówiąc:

— Pan baron prosi do kancelaryi.

W pokoju zarzuconym mnóstwem świecących drobnostek, w hebanowém krześle na biegunach, pan baron z amerykańskiém cygarem w ustach, z dziennikiem francuskiém w ręku, kołysząc się i kiwając, przyjął mnie tak, jak się to przyjmuje zduna w miesiącu lipcu, gdy się z nim rozmówić mamy o podlepieniu pieców na zimę, to jest, nie prosząc mnie siedzieć, a sam nie podnosząc się z krzesła; spytał mi się, jak się nazywam? kiedym wyjechał z Warszawy? — czy umiem po francusku? — Potém obejrzał pieczątkę na kopercie

listu, który mu doręczyłem, — potém wyciągnął przed siebie nogi, przymrużył oczy i z najwyższą niedbałością mowy, cedząc i przeciągając wyrazy, rzekł:

— *Mój* panie Korczykiewicz...

— Nazywam się Skórczykiewicz.

— Jeszcze gorzej — ale mniejsza o to Kurczy czy Skórczykiewicz, — tu zaszła pomyłka ze strony pana radzcy; ja prosiłem go, aby był łaskaw przysłać mi guwernera Francuza, a on przysyła mi polskiego nauczyciela Skórczykiewicza.

— Mości baronie! pomyłka jest obustronna; bo i pan radzca zaręczał mi, że znajdę znakomitego i dobrze myślącego obywatela, — a ja znajduję siedzącego, kiwającego się, szydzącego z mojego nazwiska, ubliżającego mi pana barona, z małą środkowéj litery przemianą.

Na te wyrazy baron się zerwał z krzesła, zarumienił i rozdzierając kopertę listu, treść szybkiemi przebiegł oczyma.

— Przepraszam, szczerze przepraszam; obrażając pana, który jesteś znakomity charakterem, a jak się z listu dowiaduję, znakomity i rozległą nauką, — bardzo zbłądziłem; — proszę, racz mi, panie, winę darować.

— Chętnie, panie baronie, poprawiam środkową literę i proszę o puszczenie w niepamięć tego, co zaszło.

— A więc podaj mi pan rękę. Pan byłeś w zagranicznych uniwersytetach i bawiłeś lat kil-

ka w Paryżu i w Londynie, — pan mówisz i po angielsku?

— Tak jest.

— Panie Skórczykiewicz, umówiłeś się z radcą na 150 dukatów; — z listu dowiaduję się, że masz niewidomą matkę, którą wspierasz, masz braci, którym w szkołach pomagasz; przyjmij więc podwojenie téj sumy, a po sześciu latach, spędzonych przy moich dwóch synkach, przeznaczam panu 2,000 dukatów gratyfikacyi.

— Będę się usilnie starał, abym usprawiedliwił tak szlachetną rozrzutność pana barona.

— Nie wątpię, że usprawiedliwisz, — ale na samym wstępie wyświadcz mi łaskę osobliwszego rodzaju; — rzecz się tak ma. Ja nadspodziewanie prędko zostałem uleczony z występnego wstrętu do nauczycieli Polaków, — dla mojéj żony potrzebne jest silniejsze lekarstwo. Przedstawię cię więc jako rodowitego Francuza, nazwę cię n. p. *Joseph Marie Balzac* — a gdy się nauczy ciebie cenić, powiem jéj dopiero, że jesteś Polakiem, że się nazywasz Skórczykiewicz.

— Panie baronie! ten żart obraziłby żonę pańską, może na zawsze.

— Nie, ona ma dobre serce, nie zwykła długo chować urazy; zaręczam, że ją potrafimy przeprosić, później będzie się z nami wspólnie śmiała. Dzisiaj, dopiero przed godziną, sprzeczała się z jednym z naszych zacnych sąsiadów, że polscy nauczyciele nie są zdatnymi do wyższego ukształcenia

dzieci rodzin znakomitych, że w polskich nauczycielach jest brak delikatniejszych uczuć, które tylko w francuskich guwernerach napotkać można.

— Kiedy więc pan baron pewny jesteś, że panią baronową przeprosić potrafimy, lekarstwo na tak niecny przesąd nie zaszkodzi; idzie tylko o dzieci, aby przemiany mojego nazwiska nie stały się na przyszłość przyczyną braku zaufania w mój moralny charakter.

— Dzieci nasze są u babki o mil 12, a zanim powrócą, już będziesz Skórczykiewiczem.

Stanęło więc na tém, że dopóki dzieci nie przyjadą, mam się nazywać Balzakiem. Jakoż w kilka minut potém zostałem baronowéj przedstawiony, jako guwerner Francuz, *Joseph Marie Balzac.* Nie uwierzysz, jak się pani baronowa ucieszyła, słysząc moje (przybrane) nazwisko, i jak szaloną okazała radość, gdy jéj mąż powiedział, że jestem rodzonym bratem autora tylu francuskich powieści i romansów. Do godziny 1-széj z północy nie mówiliśmy o niczém więcéj jak o powieściach mojego brata: — baronowa przypominała sobie tysiące z Balzaca ustępów, jam jéj w pamięci najszczęśliwiéj dopomagał. Baronowa nie liczy lat 30; jest jeszcze cudowną pięknością; przez jéj przeźroczą płeć twarzy spostrzeżesz grę każdego uczucia, w jéj wielkich oczach błyszczy ognista dusza, — na ustach igra niewysłowna lubość, — cała postać w szeleście jedwabnego stroju nęci wszyskie zmysły. W jéj rozmowie mało jest logicznego wywodu, ale

jest cała pętęga kobiecego instynktu. Dostrzegłem w niéj także zalotność; drobną rączką poprawia często podwójne szpilki w warkoczach złotego włosa, który jest tak prześlicznym, że każda królowa dałaby za niego połowę brylantów swojéj korony; — gdy się uśmiecha, widzisz białość zębów nieporównanego na świecie połysku, i dla téj to zapewne przyczyny jéj karminowe usteczka tak często do śmiechu się budzą.

Pan baron ma niezaprzeczenie dobre i szlachetne serce, umysłowość jego, obciążona błędami arystokracyi urodzenia, wznosi się jednak niekiedy na wyższe stanowisko, — na wiadomościach naukowych nie zbywa mu, ale nie są uporządkowane. Zdrowie jego wątłe, wycieńczone, powierzchowność ujmująca.

Oto masz główny zarys obojga baronostwa; moich przyszłych uczniów pragnę jak najrychléj zobaczyć, podobno że są rozpieszczeni przez babkę; — będzie więc niemało około nich pracy, ale ufam sobie, że mojego sumienia nie obrażę.

Otóż i wszystko, co dzisiaj donieść ci mogłem. — Bądź zdrów, kochaj mnie na zawsze, bo moje serce bucha dla Gucia wiecznym płomieniem wdzięcznego przywiązania i nieograniczonéj życzliwości, które na pargaminie przyjaźni zapisując, imieniem i nazwiskiem stwierdzam.

Jan Skórczykiewicz.

Pisałem w Nadymnicy dnia trzeciego po zwycięztwie Grójeckiem, roku — jeżeli się nie pomylili, bo ja za nich nie ręczę — 1828.

LIST II.

Kochany Auguście!

W poprzednim liście czytałeś zawiązanie mojéj komedyi; nie sądziłem wówczas, że już dzisiaj doniosę ci rozwiązanie nadspodziewane — i zasmucające.

Przed ośmiu dniami pisała babka, że obadwaj wnucy chorowali na odrę, i że pragnąc, aby ich zdrowie przed rozpoczęciem nauk ustaloném zostało, odwiezie ich dopiero w końcu miesiąca lipca. Oświadczyłem natychmiast gotowość i chęć jechania do rekonwalescentów, ale pani baronowa nie pozwoliła na to, twierdząc, że jéj mama mogłaby się obrazić nasłaniem obcego człowieka, i że za kilka dni sama pojedzie. Tymczasem korzystając z wolnego czasu, codziennie po godzin 3, 4 a czasem i 6 poświęcała nauce języka angielskiego, — po większéj części wtenczas, gdy mąż odjechał na polowanie. Ja, mniemany Balzac, byłem jéj nauczycielem. O ile tylko dozwoliła pogoda, odbywaliśmy lekcye w ogrodzie, który ma czarujące ustronia, milczące gaiki, brzozowe mosty, szemrzące strumyczki, cieniste altanki, świerkowe pagórki, doliny z płaczącemi wierzbami, a nawet chatkę pustelniczą, zgoła wszystkie warunki, przez czułe serca do słodkiego dumania poszukiwane.

Dzisiaj już słońce swoje pierwsze promienie w kroplach porannéj rosy skąpało, piękne zakresy (clomby) przepysznych kwiatów rozesłały na cały

ogród balsamiczny zapach, gdy baronowa w batystowém i białém jak śnieg ubraniu, z lokami *a la Clotilde*, trzymając w ręku rozkwitujące róże i gramatykę angielską, przybyła pod turecki namiot, na skoszonéj rozpostarty łące. Na widok — pomimo skończonych lat 30 — bardzo jeszcze nadobnéj uczennicy mojéj przybrałem powagę nauczyciela, zajrzałem na kieszonkowy zegarek i wymówiłem z grzecznością:

Pani baronowa jesteś przykładną w pilności naukowéj, — jeszcze brakuje minut ośm do godziny szóstej.

— Mój panie Balzac, chwile spędzane w twojém przyjemném towarzystwie radabym w dwójnasób przedłużyć.

— Jestto najwyższa dla nauczyciela pochwała.

Zamieniliśmy następnie jeszcze mnóstwo wyrazów, w dwoistém znaczeniu wyrzeczonych, do czego język francuzki bardzo jest łatwy, a czego w mowie polskiéj gładko powtórzyć nie można. Baronowa usiadła na sofie, perskim kobiercem pokrytéj, jam zajął miejsce po lewéj stronie na małym stołeczku z kory dębowéj — i rozpocząłem lekcyą.

— Koniugacya słowa *To walk (marcher)*, któréj się pani wczoraj nauczyłaś, jest w języku angielskim koniugacyją wszystkich słów regularnych; przejdziemy więc dzisiaj do słów nieregularnych.

— Panie Balzac! — późniéj o słowach nieregularnych, — czuję lekki ból głowy i ściśnienie serca.

— Pani pozwoli, że przyniosę z pałacu szklankę zimnéj wody.

— O nie — ja chcę... ja mam panu uczynić kilka zapytań.

— Co do słów regularnych?

— Nie, nie, — daj pan dzisiaj gramatyce rekracyą, — dzień jest zbyt piękny, zbyt przemawiający do uczuć, aby go gramatycznemi *studiami* zapełnić. Powiedz mi pan raczéj,.. kiedy to namiętność przechodzi w rozpacz?...

Nieprzygotowany na taką lekcyą, chwilowo zamilkłem, ale po krótkim namyśle dałem następującą odpowiedź:

— Namiętność przechodzi w rozpacz rzeczywistą, gdybyśmy jéj poświęcili uczucie powinności.

— Oh! rozumiem pana; ale czyż serce zawsze na rozkaz zamilknie?...

— Tego rodzaju cierpienia są tylko chwilowe, późniejszy spokój duszy nagrodzi je sowicie.

— Dla was mężczyzn przeminą, dla kobiet starczą do grobu.

— Cierpienia z usilnością żywione zabijają, ale gdy obowiązki żony i matki...

— Otóż od gramatyki przechodzisz pan do prelekcyi moralności; panie Balzac, jesteś Francuzem a nadto młodym, abyś był pedantem.

— Pani mylnie użyłaś wyrazu pedant.

— Być może, ale i pan naumyślnie zrozumieć mnie nie chcesz; — miałażby moja życzliwość być panu natrętną?...

— Życzliwość pani jest przewyższeniem marzonego szczęścia.

— O! ta życzliwość jest wielką, jest nieograniczoną.

Tu baronowa uścisnęła moją rękę, a jéj ogniem błyszczące oczy na wskroś mnie przeszyły.

— Pani, przebacz, że we mnie uszanowanie stosunków, które są przedziałem pomiędzy panią a mną, przewyższy każde inne uczucie.

— Dla związku serc żaden na świecie nie istnieje przedział.

— Pani baronowa uniosłaś się jedną chwilą, ale za tą chwilą są godziny, dni i lata zimnéj rozwagi, żalu i zgryzoty.

— Kobiety za jednę chwilę oddają chętnie i życie.

— Za chwilę poświęceń ale nie za chwilę zapomnienia.

— Silne uczucie nie jest chwilą zapomnienia.

— Przebacz, pani, że w silne uczucie tutaj uwierzyć nie mogę; — do silnych uczuć potrzeba rozmyślnego ocenienia osoby, którą uczuciem naszém uszczęśliwić mamy. Co do mnie nie wiem nawet, kiedy miałem sposobność zasłużyć na zaufanie, cóż dopieroż na wzbudzenie silnego uczucia.

— Jesteś Francuzem, człowiekiem honoru i — dodała ciszéj — miłości.

— Czyliż pani Polakom tych przymiotów odmawiasz?

— Pod tym względem guwerner polski *nigdyby* mojego zaufania nie zyskał.

— Więc gdybym ja był Polakiem, uczucia pani nigdyby tak daleko posunionemi nie zostały?

— Panie Balzac, zapewniam pana, *że nigdy.*

— Cofnij więc pani swoje dotychczasowe dla mnie uczucia; — z woli pana barona, na uleczenie twojego, pani, przesądu, — przybrałem nazwisko Balzaka; — jestem zaś istotnie Polakiem, nazywam się Skórczykiewicz.

Te ostatnie wyrazy, wymówione po polsku, jasno i dobitnie, były śmiertelną kulą, trafiającą i w silne uczucia i w zaufanie pani baronowéj.

Usta zsiniały, lica pobladły, — padła zemdlona. Szczęściem, że strumyk był niedaleko, i że miałem zajęczy kapelusz, który posłużył mi wybornie do zaczerpnięcia potrzebnéj ilości wody, aby zmysły zemdlonéj pani powrócić.

Uczucie powinności i uczucie religijne zgasło już oddawna w sercu i w duszy baronowéj, pozostała tylko bojaźń niesławy, i ta to bojaźń, chociaż podrzędna, ale sprawiedliwa, niszcząc całą emancypacyi teoryą — ów brudny plon z bezwyborowego czytania francuskich romansów — i zwyciężając obrażoną dumę absolutnéj pani i pięknéj kobiety, błagalną wywoła prośbę. — Przyrzekłem jéj, że to całe zdarzenie przed baronem i przed światem zamilczę; — radbym był jednakże, aby się polscy panowie dowiedzieli, z jakichto przyczyn matki ich dzieci dają francuskim guwernerom pierwszeństwo przed polskimi nauczycielami. Upoważniam cię więc, abyś, zmieniając nazwiska osób

i miejsc, listy moje drukiem ogłosił. — Aż do Białobrzegów może wszystko bez odmiany pozostać, ale za Białobrzegami należy czytelnika w inną poprowadzić stronę i tak majaczyć, aby i najprzebieglejsza ciekawość na prawdziwy ślad nie trafiła.

Spostrzegam w tę chwilę wracającego z polowania barona; bywaj mi zdrów mój drogi Auguście, kochaj mnie i pierwszą pocztą napisz mi, że mnie kochasz, bo to jest więcéj niż przyjemnie, słyszeć, że jesteśmy kochani przez tych, których z uczuciem rzetelnego szacunku szczerze kochamy.

Gniotę ci żebra i do serca przytulam.

Jan Skórczykiewicz.

26 Czerwca roku 18...

GORZKIE WSPOMNIENIE

SŁODKIEJ NADZIEI.

Powieść z trzynastomiarowym wierszem dedykacyjnym, z ostrzeżeniem dla czytelników, przy którém się post-scriptum znajduje.

Ostrzeżenie dla Czytelników.

Przy czytaniu poniżéj zamieszczonéj powieści zabrania się śmiechu, ziewania, głośnego oczyszczania nosa i wszelkich nieprzyzwoitości; albowiem

o ile śmiech z cudzych nieszczęść obraża — i o ile ziewanie jest wyraźną dla autora *impertynencyą*, o tyle głośne wycieranie nosa i wszelkie nieprzyzwoitości są złego wychowania oznaką; a więc jak wyżéj, tego wszystkiego zabrania się.

P. S. Osoby, które się zająkają lub gładko i zrozumiale czytać nie umieją, raczą się wstrzymać od popisywania się ze swoim niezdarnym talentem, gdyż przez podobne wady można z ujmą własnéj *reputacyi* i najdzielniejszemu autorowi zaszkodzić. *Autor.*

WIERSZ DEDYKACYJNY.

Maryniu!

Dla ciebie zwłok starosty rok cały szukałem,
Dla ciebie w trybunale już proces przegrałem,
W apelacyi téż słaba nadzieja się kręci,
Niechże-ć przynajmniéj dzieło wielbiciel poświęci—
Przyjm je przez słodką pamięć, która serce pęta,
Bądź zdrową, o luba! całuję rączęta.

Skłopotany podnożek
i osmucone pacholę
Au. Wi.

Już trzeci tydzień bawiłem w dalekich odwiedzinach u mojéj ciotecznéj siostry Balbiny K***, pod Kamieńcem Podolskim w Białosęku, gdy w dzień świąteczny wtoczyła się na dziedziniec

żółta, na czerwonem polu suto herbowana, w pięć gniadych koni zaprzężona, poczwórna kareta z woźnicą w galonach, z lokajem w galonach i z chłopczykiem po kozacku ubranym. «Pani starościna Bawolska»! z radością zawołała moja siostrzyczka, poprawiła mantyli i posłała po męża, który przed stajniami pokazywał siwego ogiera krwi czystotureckiéj. — «Wiesz też, braciszku, że starościna ma wnuczkę Marynię, bardzo ładną i bardzo bogatą?»

Zaledwo siostrzyczka zdążyła tych słów dokończyć, kareta stanęła przed dworem, galonowy lokaj i butny kozaczek otworzyli drzwiczki, spuścili stopnie, — a rumiana, dobrej tuszy, sędziwa pani w kanarkowéj jedwabnéj sukni, z blondynowym toczkiem na czarnéj jak sadze w kominie peruce, w niebieskich atłasowych, pąsową pelą haftowanych pantofelkach, zesunęła się w objęcia Balbiny, a za nią piętnastoletnie dziewczątko jasnego włosa, z modrem spojrzeniem, lekkie i lube jak zefir majowy, w białéj sukience z różową przepaską, istny anioł, wnuczka, drobną nóżką dotknęła ziemi. Po zwykłych najczulszych przywitaniach, po zamianie kilku tuzinów kobiecych grzeczności, starościna usiadła na kanapie, wnuczka na krześle tuż obok babki, a ja stanąłem tuż obok wnuczki.

— Prezentuję pani starościnie mojego cioteczného brata Au. Wi., Wielko-Polanina, od lat dwóch w Królestwie mieszkającego.

— Pan więc pochodzi z Poznańskiego?

— Tak jest, pani.

— Czy zna wojewodzinę***?...

— Kto taki?...

— Czy pan znasz wojewodzinę***?...

— Znam bardzo blisko.

— To mnie cieszy nadzwyczajnie. Czy zdrowe córki? czy poszły za mąż?...

— Jeszcze nie uczyniły wyboru.

— Panny bogate, pięknego urodzenia, młodsze były wcale przystojne; prawda, że to już kilkanaście lat, jak ich nie widziałam.

— Czas jest wielkim nieprzyjacielem płci pięknej.

— *A propos*, któż pana rodzi?...

Wyręczyła mnie w odpowiedzi moja siostra. Starościna rozpoczęła z nią szeroko o mojéj matce rozprawę genealogiczną; nadszedł mąż Balbiny ze swojemi sąsiadami, powtórzyła się scena przywitania, ale naturalnie z pewną odmianą; wszczęto wzajemne udzielanie nowin ze sąsiedztwa; mnie zaś przypadło w podziale szczęście rozmawiania z wnuczką pani starościny; dowiedziałem się, że była z babką tego roku w Warszawie; że tańczyła podczas karnawału; że brała lekcye śpiewu; że namiętnie lubi muzykę; że zna powieści Kraszewskiego; że czytała *Stepy i Koliszczyznę* przez Tarszę; że wczoraj zaczęła czytać Indiannę przez George Sand; że hoduje kwiaty; że ma brata Erazma, który jest chory i nakoniec że babka mieszka w Jerzowéj-Górze. Na powszechne prośby panna starościanka śpiewała przy fortepianie; —

chwalili wszyscy obecni, jam był zachwycony słowiczym głosem Maryni. Podano owoce, wino, lody, ciasta i herbatę. Starościna odjechała. Mąż Balbiny zasiadł z sąsiadami do wista ze szturmem — aby się nie zgrywali więc tylko po rublu asygnacyjnym.

— A cóż, braciszku, jak ci się podobała Marynia?

— Bardzo.

— Proszeni jesteśmy z tobą na czwartek, na urodziny Maryni.

— Zemną?... ja miałem w czwartek wyjeżdżać.

— Wiesz dobrze, że byłoby mnie bardzo przyjemnie, gdybyś dłużéj u nas zabawił; przecież jeżeli masz nieodzowny interes na ten wełniany jarmark warszawski..

— Zupełnie nieodzowny nie jest, ale chciałem być.

— Mnie się zdaje, że jeden dzień nie czyni różnicy (Balbisia uśmiechnęła się).

— Wy kobiety zaraz myślicie...

— Ja nic nie myślę.

— Czego się więc uśmiechasz?

— Ja podziwiam elektryczność twojego serca.

— A więc pojadę.

— Braciszku! zostań dla mnie i dla Maryni; nie masz się czego wstydzić, Marynia jest najpiękniejsza w całéj naszéj gubernii, a posag jéj wynosi do miliona.

— Kopijek czy groszy?

— Później się dowiesz.

Na tém się skończyła dnia tego o Maryni rozmowa; powiedziałem Balbisi *dobranoc* i udałem się do ogrodu; — wistowi nowego rozpoczęli robra.

W czwartek o 1-széj z popołudnia Balbisia w atłasowéj sukni, w pół-czepeczku z piórkiem i z kwiatkami; półkownik, jéj mąż, w granatowym fraku z czerwoną legii honorowéj wstążeczką, z najeżoną czupryną; ja w czarnym fraku z wyolejkowaną głową, wsiedliśmy do czworokonnego pojazdu; — lokaj stanął za pojazdem, wąsaty Józef palnął z bicza, półkownik upominał, aby ogiera *nie sforsował*; ruszyliśmy małym kłusem. O godzinie 2-giéj zajechaliśmy do Jeżowéj-Góry.

W obszernym pokoju bawialnym przyjęła nas starościna z wielką uprzejmością; półkownikowstwo powinszowali Maryni po polsku, ja zaś ułożony przez drogę komplement dla starościny i życzenia dla wnuczki wypaliłem w języku francuskim, co, jak uważałem, bardzo się starościnie podobało.

Zbliżył się młodzieniec wysoki, blady, z wyrazem cierpień na twarzy; półkownik chwytając mnie za rękę wyrzekł: «Mój szwagier, pan Au. Wi» wykręciwszy zaś twarz na ukos, dopełnił «Pan Erazm..... wnuk pani starościny».

— Pan dawno gościsz w naszych stronach?... zapytał młodzieniec.

— Od trzech tygodni.

— I nie mieliśmy przyjemności widzenia pana.

— Przybyłem w odwiedziny do mojéj siostry

i szwagra z zamiarem zabawienia dni kilku, dla tego nie szukałem znajomości, które po rychłéj rozłące obudziłyby tęskność.

— Ale może stałyby się zawiązkiem przyjaźni na przyszłość.

— Poczytam się za najszczęśliwszego, jeżeli dzień dzisiejszy okaże się dla mnie życzliwym.

— Jesteśmy tak dobrze o panu uprzedzeni, że od pana tylko zależyć będzie zatrzymanie w pamięci naszéj znajomości, którą *propagować* na przyjaźń, naszém jest życzeniem.

Dalsze cedzenie grzecznych wyrazów przerywali co chwila przybywające panie i panowie podolscy; kareta za karetą zjeżdżały się tłumnie; młodzież postacią, a nie wątpię, że i duchem dzielna, ze wszystkich stron kawalerskimi przybywała koczykami, kabryoletami i wolantami; powinszowania i życzenia w różnorodnych animuszu sferach, a wszystkie jednéj treści, składano czarującéj Maryni. Nastąpiło wielkie śniadanie (zegar wskazywał godzinę trzecią z południa); wszczął się gwar głośny, szerzyły się rozmowy o nowinach politycznych, o koniach, o wełnie, o psach, o strojach o angielskich ogrodach i o wiedeńskich powozach; z każdego przedmiotu było potrosze, tylko literatury nikt nie zaczepił. Po przewybornych a sowitych zakąskach roznoszono karty do wista; matrony i młodsze mężatki zajęły miejsce na kanapach i fotelach, panny usiadły sznurkiem na taboretach, młodzież kupiła się za pannami, ja

stanąłem przypadkowo za taborecikiem panny Maryanny, niezaprzeczonéj królowéj całego zgromadzenia.

«*Qui est ce Monsieur?!*» posłyszałem szepty pomiędzy młodzieżą. Erazm odpowiadał i zapoznał mnie z niektórymi paniczami.

Aby dłużéj nie nudzić czytelnika, powiem, że wszystko odbywało się w takim porządku, jak się zwykle odbywa we wszystkich domach obywatelskich przed obiadem w dniu imienin, lub urodzin, a i obiad, który się rozpoczął o 7-méj, odbył się jak inne tego rodzaju obiady i skończył się późno w wieczór. Po obiedzie zaczęły się tańce. Do pierwszego z Marynią mazura uprzedził mnie Narcyz, syn marszałka, na całe Podole *Prima Donna* płci męzkiéj; lecz zostałem nagrodzony wyborem Maryni, która przy *robieniu figury* mnie swoję drobną rączkę podała. Drugiego mazura ja już z Marynią tańczyłem, a gdyśmy potém stanęli do kontredansa, odezwałem się do niéj głosem wedle potrzeby umiarkowanym, ale drżącym:

— Mój powrót do Warszawy staje się dla mnie z każdą chwilą boleśniejszym ciężarem: — pozwól pani, abym go zwiększył a zarazem abym ulżył marzeniom, że tutaj czasem zbudzę przyjazne wspomnienie.

— Wspomnienia są dla wspominających częstokroć niebezpieczne.

— O jakże szczęśliwy będzie, kogo pani, chociaż w najlżejszym przelocie myśli, tą winą zaszczycisz.

— W Warszawie łatwo jest o takiém szczęściu zapomnieć.

— Jabym je za najdroższą życia mojego pamiątkę poczytał.

— Więc pan przyjmij tę winę.

— Pani nie dorzucaj iskry, gdzie ogień jest nieugaszony.

— Pan zwiedziłeś Włochy, czy to prawda, że lawa, którą Wezuwiusz wyrzuca, bardzo prędko stygnie?

— W łonie Wezuwiusza wre wiecznie.

— A któż się o tém przekonać może?

— Dla pani nie jest to żadną wątpliwością.

— Przeciwnie, gdyż pewność byłaby dla mnie więcéj niż przyjemną.

Zabrzmiała muzyka, rozpoczęliśmy kontredansa.

Upojony wyrazami Maryni, tańczyłem bezprzytomnie; młodzieńcy podolscy wyśmiewali moję mniemaną kontredansową nieumiejętność.

Marynia odgadła przyczynę mojego roztargnienia i szeptanemi słówkami przypominała następstwa w każdéj figurze a gdyśmy skończyli z lubym uśmiechem wyrzekła:

— Pan podczas kontredansu myślą swoją daleko od nas błądziłeś.

— Zwodnicza nadzieja uniosła mnie na najwyższy szczyt szczęścia, a więc istotnie daleko błądziłem.

— W tak szybką podróż należy brać przewodnika.

— Czy rozum?...

— Ufność.

Marynia pobiegła do babki, w mojém sercu aniołowie zaśpiewali hymn zwycięztwa.

Przepraszam najłaskawszych i najszanowniejszych czytelników płci obojéj, że następującą z kolei cząstkę méj powieści, jako jednę z trzynastu pamiątek mojego życia, przed ciekawém okiem publiczności zasłonię, nie chcąc rozwoju uczuć ani téż ogniem miłości tchnących wyrazów na szyderstwo obojętnych, zimnych, bezdusznych bałwanów ani téż na obmowę zazdrosnych kobiet narażać; — a więc proszę, od dnia téj rocznicy urodzin Maryni trzy miesiące i dni jedenaście bez pytań pominąć, a grzecznie i cierpliwie posłuchać, jakiém było moje położenie w domu pani srarościny w dniu 12-ym września, jaki mnie spotkał zaszczyt zaufania jak rozmaite trafiły mnie przygody i jakie ztąd skutki wynikły.

W dniu 12-ym września starościna Bawolska, Marynia i starościc wyroili sobie w głowie, aby mnie uprosić, żebym ja na pogranicze Szląska, do Ostrzeszowa pojechał, tamże w grobach kościoła XX. Bernadynów nieboszczyka starostę wyszukał, do kościoła w Jeżowéj-Górze za Kamieniec Podolski (nad rzeką Prut) *cum omni splendoro* sprowadził i w grobie familijnym Bawolskich zamurował. Wyraźne Boskie skaranie i oczywisty żart Mefistofelesa, — pomyślałem w duszy. Ale ponieważ Marynia uroczych oczął błagalném na mnie rzuciła spojrzeniem; — ponieważ starościc na przyjaźń

mnie zaklął, abym go w tak smutnéj powinności wyręczył, — sam bowiem, będąc po głodowéj kuracyi, lękał się osłabionego zdrowia rozczuleniem wynajdywania zwłok nieboszczyka dziadka narażać; — ponieważ starościna nakoniec bez ogródki objawiła, że ta znamienita usługa dla familii prawo moje do ręki jéj wnuczki ustali, nie pozostało mi przeto nic więcéj, jak zwyciężając żal oddalenia się na czas długi od Maryni, rzeczone polecenie wbrew moim o pogrzebach wyobrażeniom najchętniéj, z wdzięcznością przyjąć i za dowód łaski i zaufania, za dobrodziejstwo uważać.

Płci piękna! moc waszych wdzięków jest wszechwładną. Maryniu! twoje każde życzenie zawsze było dla mnie wyrokiem bez apelacyi, zawsze pod natychmiastową egzekucyą.

W cztery tygodnie późniéj, dnia 11-go października, opatrzony pozwoleniem właściwych władz do sprowadzenia zwłok ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion starosty Bawolskiego, przyjechałem do Jeżowéj Góry na pożegnanie, które to pożegnanie trwało dni pięć, bo dopiéro 16-go października szepnęła Marynia: «wracaj najspieszniéj o luby»! — «słowa mojego dotrzymam» wyrzekła starościna, podając rękę do pocałowania.

Chociaż podróż daleka, przecież starodawnym zwyczajem wyjechałem własną telegą i własnemi końmi. Drogi były błotniste, dni późnéj jesieni znacznie krótkie, upłynęło więc dwa tygodnie spełna, niżeli do Warszawy przybyłem. W Warszawie

obstalowałem dwie trumny, jednę dębową, angielską blachą wybitą i pakiem wewnątrz wylaną, drugą zwierzchnią, machoniową z srebrnemi antabami, blachami, frendzlami z malowanym herbem Bawolskich, zgoła ze wszystkiemi wysokiemu urodzeniu nieboszczyka należnemi drobiazgami i szykanami. Dzięki usłużności rzemieślników, kunsztmistrzów i artystów warszawskich, rzeczone trumny w przeciągu dni ośmiu za wyliczeniem 1500 złp. odebrałem. Nająwszy pod trumny osobną żydowską furmankę, ruszyłem 4-go listopada; — a że do Kalisza droga żwirowa a od Kalisza jeden już tylko dzień podróży, przeto 9-go listopada, w dzień Teodora męczennika, stanąłem w Ostrzeszowie (proszę pamiętać: w dzień męczennika) w domu zajezdnym pod kogutem czyli gołąbkiem, tego rozpoznać nie mogłem, bo genialny talent gardził niewolniczą formą, gdy owego ptaka malował. Znużony podróżą, rychło udałem się na spoczynek. Nazajutrz już o godzinie 8-éj byłem w kościele; po wysłuchaniu mszy św. zapytałem w zakrystyi o ks. gwardyana.

— Wyjechał do Poznania na dwa tygodnie, odrzekł pokorny laik Prosper. — Któż miejsce ks. gwardyana zastępuje? — Ksiądz Bonifacy. — A ks. Bonifacy czy jest w klasztorze obecny? — Właśnie poszedł do swojéj celi. — Któraż to cela ks. Bonifacego? — Pierwsze drzwi za celą ks, gwardyana.

— A któraż cela jest ks. gwardyana?—Tuż obok refektarza. — Gdzież jest refektarz?! — Pan dobrodziéj zapewne obcy a więc zaprowadzę. — Proszę!

Idąc długim korytarzem, minęliśmy na prawo cel ośm, na lewo cel pięć, wschody na chór prowadzące, znów cel cztery, potém skręciliśmy w drugi korytarz i przed trzeciemi drzwiami na lewo zatrzymał się mój przewodnik, mówiąc: «Oto jest cela ks. Bonifacego».

— *Laudetur Jesus Christus!* odezwałem się wstępując do celi ks. Bonifacego. — *in saecula saeculorum amen*, — odpowiedział dobréj tuszy, sędziwy zakonnik.

— Czy z ks. Bonifacym rozmawiam!

— Tak jest.

— Nazywam się Au. Wi., przybyłem z Podola, upoważniony przez familią Bawolskich, ażebym zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion starosty Bawolskiego, znajdujące się w grobach tutejszego kościoła, po żałobném za duszę nieboszczyka nabożeństwie, ztąd wyprowadził i odwiózł je do grobu familijnego w Jeżowéj Górze na Podolu. Oto jest na moję osobę sądowe upoważnienie od familii; oto jest paszport, tożsamość méj osoby legitymujący.

— Dobrze to jest wszystko, ale w nieobecności ks. gwardyana nie wiem, jak się mam w tym interesie porządzić.

— Pani starościna przesyła przezemnie 1000 złp. dla klasztoru, a osobno 500 złp. na żałobne nabożeństwo przy wyprowadzeniu zwłok starosty.

— Dobrze to wszystko, bardzo dobrze; właśnie jesteśmy w potrzebie, bo dach zaczęliśmy na

kościele reparować a i w dzwonnicy drzewo jest spróchniałe.

— Raczy więc ks. dobrodziéj przyjąć te obiedwie sumki i rozkazać łaskawe wynalezienie zwłok nieboszczyka, jak niemniéj zarządzić nabożeństwo.

Domawiając tych słów odrachowałem holenderskich ważnych dukatów 75 z dopłatą po gr. 15 na każdym dukacie. Ks. Bonifacy stuknąwszy w każdą sztukę złota, głową kiwnął na znak, że nie masz w sumie zmyłki, poczém nisko się pokłonił, pieniądze do szuflady zgarnął i na klucz zamknął.

— Jaśnie wielmożny pan może pozwoli sobie służyć małém śniadankiem; mam ja tutaj śledzia z Krotoszyna, znajdzie się i wódeczka; na co nas stać w klasztorze.

— Każdego rodzaju gościnność jest zawsze miłą.

Mieliśmy i wędzone kiełbasy, ale ksiądz gwardyan wziął wszystkie trzy na drogę.

— Niech będą ks. gwardyanowi na zdrowie; dla mnie dobry i śledź, zwłaszcza, że lubię śledzia, a zapewne niezgorszy kiedy z Krotoszyna.

— Pan burmistrz bardzo je zachwalał i on to istotnie sam te śledzie kupował, będąc w Krotoszynie.

Jakkolwiek śledź był niezaprzeczony Szwed trzygroszowy, jakkolwiek podano mi na zakąskę bułeczkę, z pewnością przed ośmiu dniami upieczoną, i wódeczka nigdy się z alembikiem nie wi-

widziała, — przez grzeczność jednakże wszystkiego próbował.

— JW. Pan przebaczy, że niczém lepszém służyć nie mogę.

— Dobre serce najwykwintniejsze przysmaczki zastąpi.

— Co się tyczy interesu pańskiego, chociaż ks. gwardyan jest nieobecny, biorę to już na moję odpowiedzialność; ale uważam, że do wydania zwłok potrzebne są pozwolenia: *pro primo* konsystorza — *pro secundo* regencyi poznańskiéj, a kto wie, czy nawet nie ministeryum z Berlina, — bo bez dopełnienia tych formalności upewnić JW. pana mogę, że i sam ks. gwardyan nie byłby w stanie przychylić się do życzeń JW. pana, mamy bowiem surowe w téj mierze przepisy.

Gdyby mnie kto pałką po czerepie uderzył, jeszczeby mnie tak nagle głowa nie zabolała, jak kiedym usłyszał o tylu formalnościach. Śledź w zębach, bułeczka w ręku nieruchomo zawisły. Spojrzałem się smutnie na szufladę, gdzie moje spoczywały holendry.

Kiedy za powrotem do domu zajezdnego biję się z myślami, czy jechać, czy pisać po one pruskie pozwolenia na wyprowadzenie za granicę zwłok ś. p. starosty Bawolskiego, wbiegł do izby mój woźnica Mateusz i wrzasnął na całe gardło: «panie! konie nam ukradli!»

Przelękniony, jeszczem nie zdążył ust otworzyć, gdy wbiega furman warszawski, który trumny

przywiózł, za furmanem wbiega gospodarz domu, i każdy osobno wrzeszczy jak zamówiony: «pańskie konie ukradli!»

— Kto? kiedy? jak?...

Żyd.

— Mateusz *wysied* na rynek kupować biczysko, *jam się trochę zasnął* na pańskiéj bryczce...

Gospodarz.

— Na nieszczęście, ja także z żoną moją byliśmy na mszy św.

Żyd.

— Wiatr począł mnie *studzić*, *budzę* się, patrzę, wrota od stajni na pole roztwartych, — patrzę — nie masz mojéj bryki z trumnami, patrzę, a tu i koni pańskich nie ma w stajni.

Nie było czasu do dalszéj rozmowy. Woźnica Mateusz, Jan lokaj i żydek na warszawskich, sześciu mieszczan z Ostrzeszowa na swoich własnych koniach rozbiegli się na wszystkie gościńce. Minęło południe, minął zachód słońca, noc zapadła, — nikt jeszcze nie wracał, a pan burmistrz, popijając z mojego samowara herbatę, twierdził, że niezawodnie złapali złodzieja. Wybiła godzina dziesiąta, pan burmistrz przyznał się, że zawiele dolewał araku, — powtórzył zapewnienie, że niezawodnie złapali złodzieja; życzył mi, abym był spokojny; powiedział dobranoc i udał się na spoczynek. O dwunastéj położyłem się nierozebrany w łóżko.

«Wracaj najspieszniéj o luby!» — «Słowa mojego dotrzymam». — «Auguście, dasz mi dowód przyjaźni!» Marynia, starościna i starościc, jak gdyby na jawie przemówili do mnie; wzrok mój zatopiłem w uroczą postać Maryni, ona się do mnie uśmiechała, jéj wdzięki pełnym kwiatem czarują me zmysły, myśl swawolna spuszcza się na zrąbek, cisnący bijące dla mnie serce dziewicy, każdą chwilę przyszłości chętniebym połową życia odkupił, — wtém jasność od okna razi moje powieki. Budzę się, — moje papiery i jedna firanka w płomieniach!

Ratujcie! krzyknąłem z przestrachu i równocześnie gołemi rękami ogień gasić począłem.

Gospodarz domu w koszuli, ze świecą, parobek z kubełkiem wody i nocny stróż z koszturem, razem na pomoc wpadli; szczęściem kubełek nie był próżny, woda zwycięstwo odniosła, ale pugilares z pieniędzmi, upoważnienie do przewiezienia zwłok ś. p. starosty Bawolskiego, mój paszport — w całości spłonęły; a ręce moje z początku do raków podobne, niebawem białemi pokryły się pęcherzami.

Już siedm tygodni minęło; jam jeszcze pióra w rękę ująć nie mógł; balbierz miejscowy, za którego znajomość chirurgii pan burmistrz zaręczył, — jak utrzymywał doktór z Krotoszyna, — zamiast maści gojącéj użył przez grubą pomyłkę maści jątrzącéj; wprawdzie środki przez doktora późniéj użyte, były skutkujące, ale kuracya wolnym szła

krokiem; przypalone żyły, spryszczone kości długiego potrzebowały czasu, ażeby do zdrowego stanu powrócić, a pan konsyliarz Borstenmaus swéj biegłości w sztuce lekarskiéj, gospodarz domu *wielkiemu* szczęściu, gospodyni domu łasce Boskiéj przypisywała, że się obyło bez odjęcia dziesięciu palców.

Gońcy, wyprawieni za złodziejem, dopiero na trzeci dzień po pogorzeli moich rąk i papierów powrócili byli bez śladu złodzieja. Obiegniki z opisem koni, bryki i trumien szły *langsam* ze wsi do wsi, z miasta do miasta; pan *landrat* wprawdzie doniósł mi, iż odebrał wiadomość, że pod Frankfurtem nad Odrą przytrzymano podejrzanego żyda z czterema końmi, — ale tamte konie były karéj, moje zaś gniadéj maści.

Żydek, furman warszawski, otrzymawszy 150 złp. za stare graty skradzionéj bryki i 400 złp. za przewiezienie trumien i za 5-cio dniowy pobyt w Ostrzeszowie, powrócił do Warszawy; korespondencye o nowe upoważnienie do przewiezienia zwłok śp. starosty Bawolskiego, o nowy dla mnie paszport, o pozwolenie z konsystorza, o pozwolenie z regencyi poznańskiéj, ręką pana burmistrza pisane i jego pośrednictwem na pocztę wyprawione, jeszcze żadnéj nie uzyskały odpowiedzi. Jan Kierejsza, jeden z tych ostrzeszowskich obywateli, którzy przezemnie najęci byli w pogoń za złodziejem, wytoczył przeciw mnie proces o wartość konia, którego, jak dowodził, schwacił był w usłu-

dze dla mnie dokonanéj, — znalazł nawet prawem żądaną liczbę świadków, którzy utrzymywali, żem przy wysłaniu pogoni rozkazywał, aby pędzili, co koń może wyskoczyć. Gospodyni za maleńką z grubego perkalu firankę podała likwidacyą wynoszącą złp. 45. Kosztowało pomieszkanie, żywność moja i dwóch służących, doktór z Krotoszyna przybywający, apteka; — kwartał mojego pobytu w Ostrzeszowie upłynął, już tylko 600 złp. miałem w zasobie, jaki po pogorzeli pugilaresu w sakiewce dukatami pozostał, gdy pewnego dnia odwiedził mnie pan burmistrz i przy zamkniętych drzwiach ze łzami prosił, abym mu pożyczył 300 złp., ponieważ pisarz jego skradł mu takową sumę z kasy miejskiéj. Nieszczęśliwi, a ja do nich w Ostrzeszowie należałem, czuli są na nieszczęście bliźniego, a więc spodziewając się nadto z dnia na dzień niewątpliwéj przysyłki pieniędzy od bankiera z Warszawy, wyliczyłem panu burmistrzowi żądaną sumkę i pozostałem przy 300 złp. Ledwo że dziękujący i dozgonną wdzięczność obiecujący burmistrz moje pomieszkanie opuścił, wchodzi posłaniec z poczty i doręcza mi list niefrankowany z Wrocławia. Płacę *porto* 7 srebrników i trzy denary, łamię pieczątkę, — i któż uwierzy, że mnie paraliż nie zaraził, gdym następujący list przeczytał:

Wrocław, dnia 27 lutego 18...

Jaśnie wielmożny panie!

Mojego honoru i uczciwości powinność nakazuje mi, abym Jaśnie Wielmożnemu Panu zwrócił

listy, których nie odsyłałem na pocztę, ale przy sobie zatrzymałem dla zyskania danych mi przez pana burmistrza pieniędzy na opłatę portoryi od tychże listów. Szczupła pensya, jaką mi pan burmistrz mimo moich zasług i *zdolności* wyznaczył, zpowodowała mnie do tego kroku. Widząc z odpieczętowanych listów, że na przesłaniu tych listów Jaśnie Wielmożnemu panu zależy, i ulitowawszy się nad smutném zkądinąd położeniem pańskiem, donoszę J. W. panu dzisiaj przed moim z Wrocławia wyjazdem, że prośba pańska do regencyi poznańskiéj o pozwolenie wywiezienia do Polski zwłok nieboszczyka Bawolskiego, list do konsystorza, list do bankiera w Warszawie, listy dwa do pana landrata w Krotoszynie, listy w jednéj kopercie do Jeżowéj Góry pod Kamieniec Podolski,— w sumie ogólnéj: listów 7, w chustce od nosa szpagatem związane i opieczętowane, znajdują się wszystkie w Wrocławiu u pana Knypsz, piekarza, oddane na ręce córki jego Elizy, które JWPan za zgłoszeniem się każdego czasu odebrać może. Życząc JWPanu rychłego i najlepszego zdrowia, przepraszam za zawód przezemnie doznany, cztery zaś talary i ośm srebrników, których za te listy niezapłaciłem, otrzymawszy na nie od pana burmistrza pieniądze może JWPan odebrać od pana burmistrza z mojéj zaległéj pensyi za ostatni kwartał z roku przeszłego, a gdyby się pan burmistrz tłumaczył, że ja *defraudowałem* z kasy miejskiéj 300 złp., wtenczas *deferuję* panu burmistrzowi przysięgę, że mnie się

z przeszłego roku jeszcze 17 talarów pensyi i jeden talar kosztów podróży za rekrutami do Krotoszyna słusznie należy; bo potrącenie kar porządkowych, przez pana landrata wymierzonych, nie mnie ale pana burmistrza dotyczyło, a on niesłusznie na mnie winę spędził, o czém pan burmistrz wié najlepiéj.

Zostaję z jak najgłębszém uszanowaniem
JWPana
najniższy sługa
Jakób Knewkowski,
były etatowy pisarz.

Nigdy mściwy nie byłem, ale gdyby mi kto wtenczas Jakóba Knewkowskiego, byłego etatowego pisarza, do rąk moich dostawił, byłbym go niewątpliwie, ale to bez zawodu, żywcem udusił.

Potrzeba było upływu całéj godziny, zanim odzyskałem zmysły, a potém jeszcze przez dwie godziny z gniewu sapałem; zwolna dałem przystęp zimnéj rozwadze, potém począłem dumać, w końcu przekonałem się dostatecznie, że gniew zgoła nic nie pomoże, i że pospieszne pióro najwłaściwszą w tym przypadku będzie czynnością. Jakoż odrzuciwszy powijaki z méj ręki, jąłem się do pracy. Przed wieczorem już wszystkie ukończyłem listy i sam je odniosłem na pocztę; żeby zaś pan piszczyk z ostrzeszowskiéj poczty Jakóba

Knewkowskiego nie miał sposobności naśladować, na te wszystkie listy wziąłem rewers, i już pewny skutku, powróciłem na nieszczęsną kwaterę.

Burmistrz uwiadomiony o tym nowym występku swojego byłego pisarza, bezpośrednio zaklinał się w żywe Bogi, że Knewkowskiemu ani grosza nie winien, że, gdyby mu przyszło cały stracić majątek (na szczęście prócz poczciwéj żony i siedmiorga ładnych dzieci nie miał innego), Jakóba, zbrodniarza, wynajdzie i do sądów kryminalnych odeśle.

W zamian téj szczeréj gorliwości zażądałem od poczciwego prezydenta, aby się udał do ks. gwardyana, który oddawna z Poznania powrócił, z uprzejmą prośbą w mojém imieniu o chwilowy zwrot chociaż tylko 500 złp., które na koszta żałobnego nabożeństwa ks. Bonifacemu zaliczyłem; obawiałem się bowiem przed nadejściem z domu pieniędzy zupełnego wyczerpnięcia méj konającéj gotowizny.

— Pan dobrodziéj, wyrzekł burmistrz, masz prawo nietylko 500 złp. ale i całkowitą sumę odebrać.

— Ja nie myślę odbierać.

— Rozumiem, — rozumiem; pan dobrodziéj zwrócisz, skoro z domu przyślą pieniądze, a tylko nadzwyczajne wypadki... Już ja to wszystko opowiem.

Pan prezydent wyszedł w owém poselstwie do klasztoru; ja tymczasem rozkazałem Mateuszowi nastawić samowar, posłałem po cukier i arak

i umyśliłem nazajutrz jechać do Krotoszyna celem widzenia się z doktorem Bornstenmaus, gdyż wskutek kilkogodzinnego natężenia ręki przy pisaniu listów uczułem ból odnowiony. Gdy myśl moję tym przedmiotem zatrudniam, powraca prezydent. Z jego rzadkiéj miny poznałem odrazu, że poselstwo prezydenta niepomyślnie się powiodło.

— A cóż?... kochany pan napróżno się trudził.

— Przyznam się panu dobr., że nie spodziewałem się po ks. gwardyanie!

— Dla mnie w Ostrzeszowie każdego rodzaju nieprzyjemność jest spodziewaną.

— Tłumaczy się, że zakupił drzewo, wapno, dachówkę, że popłacił majstrom i pomniejsze długi u kupców i *sumuje* się, że z tych pieniędzy pozostało mu tylko dwa dukaty, które, jeżeli pan dobrodziéj pozwoli, zaraz przyśle.

— A cóż mnie po dwóch dukatach?

— Co do mnie, ja istotnie w tak nagłym czasie nie wiem, czyli przed Wielkanocą będę w stanie...

— Ale któż o tém mówi, kochany prezydencie, raczéj bądź łaskaw nalać herbaty, bo mi znów ręka nieco nabrzmiała.

— Może pan dobrodziéj zaziębił? trzebaby posłać po doktora.

— Jeżeli prezydent masz wolny czas, przejechalibyśmy się jutro do Krotoszyna.

— Z miłą chęcią, i owszem, gdyż i mnie wypada być u pana *landrata*.

Umówiwszy jutrzejszą podróż, przy herbatce

przeszliśmy do potocznéj gawędki. Prezydent opowiadał mi historyą swojéj służby wojskowéj, historyą swojego ożenienia; skarżył się na intrygi, przez które pozbawiony został wyższéj posady; chwalił mi swoje dzieci, popłakał się, wypił czwartą szklaneczkę i gdy nocny stróż godzinę dziesiątą ogłosił, jako przykładny mąż powędrował do domu. Tak się dla mnie zakończył znów jeden dzień nieszczęść, smutku i nudów ostrzeszowskich.

Zaledwo słońce pierwszym promieniem na świat rzuciło, burmistrz zajechał przed moje mieszkanie; byłem już ubrany a więc niebawem ruszyliśmy w drogę. Prezydent przez cały czas podróży był wbrew swojemu zwyczajowi bardzo mało mówiącym; uważałem nawet, że im więcéj zbliżaliśmy się do Krotoszyna, tém wyraźniéj malował się smutek na jego twarzy.

— Co tak prezydent zasępiony? czy u *landrata* burka prezydenta czeka?

— Nie obejdzie się zapewne bez jakiéj przymówki, bo nasz pan *landrat* ma to w zwyczaju. Tym razem jednakże mam inną przyczynę smutku, gdyż przyznam się panu dobrodziejowi, że czynię sobie pewne w tym względzie wyrzuty, iż pozwoliłem na pańską podróż do Krotoszyna. Boże broń przypadku,... gdyby pan dobrodziéj miał zachorować, nie darowałbym sobie tego do śmierci.

— Ja mam zachorować?... dla tego, żem się przejechał do Krotoszyna po czternasto-tygodnio-

wéj pokucie ostrzeszowskiéj?... Cóż się u licha prezydentowi przyśniło?

— Powiem więc panu dobrodziejowi, że lepiej oto, kiedy jeszcze czas, powrócić do Ostrzeszowa, bo w Krotoszynie panuje cholera.

— Dawno?

— Podobno już od trzech dni umierają.

— Wieczny odpoczynek tym, co już pomarli. Co do nas, byłoby śmiesznością, gdybyśmy, pół mili będąc od celu podróży, wracać mieli z obawy przed cholerą. Wstydź się, stary podporuczniku! Któż to widział, aby żołnierz bał się zarazy; napijesz się miętówki i figę cholerze pokażesz.

— Ha! niech i tak będzie.

Wtém mijamy idącą z niasta wiejską niewiastę.

— Matko! a cóż tam nowego słychać w Krotoszynie?

— Wielmożny paniczu! źle — odrzekła kobieta.

— A cóż złego?

— Cholera.

— Dużo ludzi umiera?

— Ludzi jeszcze niewiele, ale żydów to po kilkoro na dzień.

Rozśmieszeni odpowiedzią chłopki, która żydów za ludzi nie uważała, wjechaliśmy do Krotoszyna z żartami na ustach; ale gdyśmy przy pierwszéj ulicy dwóch nieboszczyków spotkali, prezydent zbielał jak kreda, mnie cichaczem dreszcz po plecach przebieżał.

Pan konsyliarz Borstenmaus przyjął mnie bardzo grzecznie; miałem szczęście poznać jego żonę, o której mi wiele w Ostrzeszowie powiadał i pokazał mi dwumiesięczną córeczkę; potém obejrzał moje ręce, kazał daléj *kontynuować* maść żółtą i przepisał proszek do posypywania. Wniesiono śniadanie; spytałem się o śmiertelność cholerycznych, konsyliarz zapewnił mnie, że jemu jeszcze żaden choleryczny pacyent nie umarł, że wypadki śmierci, które się w mieście zdarzyły, wynikły jedynie z uporu jego kolegów, którzy inną leczą metodą; następnie rozprawiał wiele o chemii, z chemii przeszliśmy do fizyki, od fizyki powróciliśmy do medycyny; konsyliarz uwiadomił mnie nawiasem, że 5 lat chodził w Berlinie na klinikę, że należy do najznakomitszych lekarzy, czemu ja, popijając jego *Strohwein*, bynajmniéj nie zaprzeczałem. Dowodził, że cholera nie jest zaraźliwą, i że w usposobieniu człowieka a nie w powietrzu jest przyczyna choroby; utrzymywał, że kto się cholery nie lęka, nigdy jéj nie dostanie; aliści pośród tych dowodzeń i objaśnień doktór medycyny i chirurgii, Borstenmaus, nagle skrzywił twarz swoję, krzyknął i upadł na ziemię ze wszystkiemi oznakami najgwałtowniejszéj cholery.

Byłoby jakoś nieprzyzwoicie, gdybym szanownym czytelnikom opisywał szczegóły cholery; jestto słabość nietylko w skutkach niebezpieczna, ale i w swym przechodzie bardzo nieporządna; — raczéj więc w skróceniu powiem, że nadbiegło pię-

ciu lekarzy i, chociaż nie metodą dr. Borstenmausa ale własną, przecież kolegę od śmierci uratowali.

Już wieczorem opuściliśmy z prezydentem Krotoszyn. Na drodze prezydent skarżył się często na ból głowy, jam milczał, ale czułem, że cholera chwyta mnie po wszystkich członkach. O 1-széj z północy stanęliśmy w Ostrzeszowie; o 7-méj rano moje okropne przeczucie zamieniło się w rzeczywistość. Dostałem cholery! I tu znów należy skrócić mój opis; jedno tylko westchnienie mimowolnie wyrywa się z piersi: o Maryniu ileż ja dla ciebie cierpiałem!...

Znudziłbym na śmierć szanownych czytelników, gdybym wszystkie bolesne szczegóły moich następnych jeszcze przypadków opisywał i oddaliłbym się od głównego przedmiotu; wszakżeż rozwlekłością już dotąd niemało nagrzeszyłem. Ale takto zawsze bywa, że ten, kto cierpiał, o najdrobniejszych pamięta okolicznościach i wszystkie każdemu powtarza. Przypomni sobie czytelnik, żem po odebraniu złodziejskiego wyznania Knewkowskiego *pospiesznie* rozpisywał listy powtórne, i żem je sam na pocztę odnosił. Otóż przy końcu kwietnia, gdym po ciężkiéj cholerycznéj chorobie z łóżka pierwszy raz powstał, w przeciągu kilku dni odebrałem odpowiedzi: z konsystorza, że na list, do jakiéjś Maryni pisany pod kopertą konsystorza poznańskiego, żadnéj nie mogę otrzymać wiadomości, bo konsystorz nie wie, gdzie Marynia mieszka i nie trudni się takiém pośrednictwem, dziwi się nadto i t. d... regencya poznańska odpisała, że pieniędzy nie wy-

pożycza; bankier warszawski upewnił, że nie ma nic przeciwko przeprowadzeniu zwłok starosty Bawolskiego, a Marynia zwracając mi prośbę do konsystorza, czyniła wyrzuty o roztargnienie z winy zapewne zajęcia się pięknościami Wielko-Polski. Każden się z czytelników bardzo łatwo domyślił, żem przez zbytni pośpiech a może i przez gwałtowność gniewu na Knewkowskiego napisy na kopertach najnieszczęśliwiéj pozamieniał, ale nikt sobie nie wyobrazi mojéj nowéj ztąd boleści. Nie przytoczę szczegółów, jak poczciwy prezydent, z prawdziwém mojem zmartwieniem, za pośrednictwem cholery przeniósł się do lepszego żywota; jak mój Mateusz skutkiem próżniactwa zadał się w romans z córką sąsiedniego kuśnierza, z czego wynikły hałaśliwe nieporozumienia, a w końcu ślub głupiego Mateusza; jak Knewkowskiego uchwycili, a ja rad nie rad, trzy razy do sądu stawać musiałem; pominę, że regencya poznańska, wzbraniała się wydać pozwolenia na poruszenie nieboszczyków podczas lata, porę zimową ku temu oznaczając; że do Poznania osobiście jechać byłem przymuszony; że w Poznaniu miałem zatargi wekslowe i t. d. i t. d.

Dopiero po wielu i wielu nieprzyjemnościach, zmartwieniach, zgryzotach i chorobach, po długich korowodach, przy końcu miesiąca września odzyskałem, zgromadziłem i posiadłem to wszystko, co do przewiezienia zwłok starosty było potrzebne.

Uszczęśliwiony spełnieniem się moich przed-

ostatnich życzeń, przybywam 2-go września do ks. gwardyana i składam wszystkie dowody i zezwolenia, i proszę o owe nieszczęsne zwłoki Jana Kazimierza Wojciecha trzech imion Bawolskiego. Ks. gwardyan winszuje mi pomyślnego skutku tylu kłopotów i wyprawia ze mną znanego mi już ks. Bonifacego i dwóch braciszków. — Wchodzimy do sklepów kościelnych, wnoszą za nami dwie trumny poznańskie; pytam się gdzie stoi trumna z Bawolskim, ks. Bonifacy odpowiada, że nie wie, — dwaj braciszkowie odpowiadają, że nie wiedzą. Zwołują ks. Kajetana, ks. Franciszka, ks. Anzelma, samego nakoniec ks. gwardyana, potém starego organistę, kilku dziadów ze szpitala, ale nikt o trumnie Bawolskiego nie wiedział. Ogarnia mię rozpacz; — z latarnią w ręku przebiegam wszystkie sklepy, czytam każdy napis; trumien do tysiąca, ledwo, że mi oczy na wierzch nie wyjdą, zapach trupów razi mnie gwałtownie, dwanaście godzin pracy mija bezskutecznie!! Nie zważając na zapadłą noc, na oddalenie się księży, w towarzystwie tylko już jednego lajka zaczynam na nowo śledztwo; każdą trumnę znaczę kredą, abym drugi raz do niéj nie powracał; trzech wojewodów, siedmnastu kasztelanów, czterdziestu stolników i podstolich, jedenastu podkomorzyców, kilkudziesięciu wojskich, podczaszych, cześników, dwóch pisarzy koronnych, jednego krajczego, trzech skarbników, siedmiu chorążych, do trzydziestu starostów i w trójnasób starościców, znalazłem i wy-

czytałem, lecz ani śladu o Janie Kazimierzu Wojciechu trzech imion Bawolskim.

Nie wiem, co się zemną stało, ale nazajutrz, gdym około południa oczy otworzył, znajdowałem się w celi klasztornéj, na łóżku zakonnika. Dr. Borstenmaus stał przy mnie z wielką flaszką aromatycznego spirytusu a ostrzeszowski balbierz, smarując przy oknie wizykatorye, przypatrywał się zgęszczonéj krwi na miednicy. Jakby przez mgłę zacząłem sobie przypominać dzień wczorajszy. Mówiono mi, żem nad ranem zasłabł, wychodząc ze sklepów grobowych; że mi zaszkodziła bezsenność i złe powietrze, że to był tylko lekki napad uderzenia krwi do głowy, że niezadługo będę zdrów i t. d.

Minęły trzy tygodnie po tym przypadku, paraliżem utracona władza w prawéj ręce i w prawéj nodze, dzięki méj młodości, zupełnie powróciła. Siedziałem na ławeczce przed klasztorem, rozmawiając z ks. Bonifacym.

— Trudna rada, potrzeba, ażebyś sobie JW. Pan wyperswadował; mamy wprawdzie ślad a nawet i dowody, bo dziadek Grzegórz bardzo dobrze pamięta pogrzeb ś. p. starosty i wie naprzykład wszystkie szczegóły: że starosta jadąc z Przementu, gdzie ks. opata, brata swojego odwiedzał, tutaj na popasie zasłabł, że umarł w wigiliję ś. Jana, że go chowano dopiero za tydzień; że nie szczędzono kosztów za duszę nieboszczyka, bo i dziady po całkowitéj złotówce dostały; — ale cóż, kiedy

go teraz w żaden sposób wynaleźć nie można. Albo to na jednéj trumnie brakuje blachy z napisem?— któż tam w sklepieniach grobowych upilnuje złodzieja! — kiedy już taka wola Boska, aby tutaj ś. p. starosta spoczywał, nie można się sprzeciwić; najgorzéj kłopot dla ks. gwardyana względem tych pieniędzy, które JW.Pan do rąk moich złożyłeś. — Ks. gwardyan jakoś się pospieszył...

— Mój księże Bonifacy, jabym drugie tyle zapłacił, gdybym z próżnemi trumnami na Podole nie wracał; nie wiesz, szanowny zakonniku, ile to światowych okoliczności związało się z temi nieodszukanemi zwłokami starosty.

— Drugie tyle!?... mruknął pod nosem ks. Bonifacy, i mocno się namyśliwszy poszedł do sadu, gdzie się znajdował ks. gwardyan przy zbiorze zimowych jabłek sztetynów.

Wieczorem tegoż samego dnia ks. Bonifacy miał długą sam na sam zemną naradę; cela, która od czasu mojego ostatniego przypadku zamieszkiwałem, była położoną przy głównym korytarzu, często więc który z zakonników lub klasztornéj czeladzi obok drzwi moich przechodził; natenczas ks. Bonifacy mowę swoję wstrzymał a nawet po kilka razy wychodził patrzyć, czy nas kto nie podsłuchuje. Cośmy uradzili, cośmy z sobą rozmawiali, prócz wyrazów ks. Bonifacego: «niech Bóg broni, żadnego dygnitarza!» — przepraszam ciekawych czytelników, więcéj w tém miejscu wyjawić nie mogę, bośmy sobie przyrzekli wzajemnie

najściślejszą tajemnicę, a gdy później przez kłótnie kobiet ostrzeszowskich zostaniemy zdradzeni, już wtenczas nie moja w tém wina, ani ks. Bonifacego. Lecz ażeby na teraz odwrócić uwagą czytelnika, opowiem małą potocznéj treści historyjkę.

Był przy pewnym klasztorze szewc, zawołany pijak; imię mu było Wojciech, ludzie go nazywali kulawy Wojciech, bo nieco chromał na nogę. On tedy szewc robił za ogólném, roczném wynagrodzeniem z dawanego mu rzemienia obuwie dla wszystkich zakonników i dla klasztornéj czeladki; łatał za kieliszek wódki stare chodaki dziadów ze szpitala; rzadko kiedy podejmował się roboty na miasto, chyba dla bardzo nabożnego człowieka. Mówiono wprawdzie, że z miasteczka nie dawali mu roboty, bo trudno się było doczekać, a i przyszwy często potrzeba było u żyda arendarza wykupywać. Złośliwi twierdzili, że jego dratwy w tydzień pękały, że zelować nie umiał, ale to wszystko były bajki, bo, pomijając drobne przywary, kulawy Wojciech do rzędu dzielnych szewców należał. Trzydzieści lat posługi dla klasztoru upłynęło Wojciechowi; w niezwrotnéj czasu kolei skończył 65-ty rok swojego życia i już otrzymał drugi nowy przydomek, bo wołano na niego «*stary* kulawy Wojciechu,» gdy na początku sześćdziesiątego siódmego roku poczciwego żywota, na chrzcinach u organisty Bartłomieja bies go zaczarował, albotéż złe urzekło, że się zakochał w owdowiałéj szewcowéj Małgorzacie, w babie tylko o rok od

niego młodszéj, na całe miasteczko słynącéj z wymowy, nie nazbyt delikatnéj a mocno *dobitnej*. Krótko trwała konkurencya kulawego Wojciecha o rękę pani Małgorzaty i w ostatni dzień kusaków tegoż samego roku, kiedy umarł pan burmistrz, pobrali się kochankowie; ślub dawał ks. kaznodzieja, wesele odprawiło się u organisty. Ks. gwardyan przez wzgląd na trzydziesto-letnie zasługi Wojciecha pozwolił nowożeńcom zamieszkać izbę w szpitalu, będącym za obrębem murów klasztornych. Pierwsze początki małżeństwa były bardzo przykładne; — ale niezadługo, gdy Wojciech gorzałki dla swéj połowicy czy żałował, czy nastarczyć nie mógł, wszczęła się pomiędzy małżonkami kłótnia, obraza Boska z dnia na dzień powiększała się, djabeł téż na złą sprawę ustawicznie czatował, — i jednego dnia po wschodzie słońca dano znać ks. gwardyanowi, że Małgorzata starego Wojciecha na śmierć uraniła. Pomimo, że miejscowy chirurg wszelkich dokładał starań, na trzeci dzień po owém małżeńskim nieporozumieniu stary kulawy Wojciech przeniósł się na wieczny spoczynek, wyznając przed zgonem, że Małgorzata śmierci jego nie winna. Działo się to przy końcu września a w początku października postawiono zwłoki kulawego Wojciecha w przedsionku grobowych sklepów klasztoru, bo pod ten czas był siew jesienny, konie mieszczan nie były czasowe, a klasztorne z kwesty nie powróciły; nadto grabarze, żywiąc jakąś dawną o odmówienie naprawy butów urazę do

nieboszczyka, gdy Małgorzata nie miała pieniędzy, darmo grobu kopać nie chcieli, — z tych tedy przyczyn i przez wzgląd na poczciwość zmarłego ks. gwardyan wyrzekł był: «postawić go tymczasem w przedsionku sklepów grobowych.»

Na tém koniec i nie koniec historyjki; ale mnie się dłużéj drobiazgami bawić nie należy, kiedy główna sprawa nie ukończona a więc *a capite*.

Żelazna wola człowieka łamie wszelkie trudności. Dwudziestego piątego października odnowiwszy poszukiwania, mając tylko do pomocy starego organistę, już o szaréj godzinie wynalazłem wreszcie zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha trzech imion Bawolskiego i tegoż dnia jeszcze szanowne szczątki starosty zapakowaliśmy w trumny poznańskie. Nazajutrz ciało było wystawione na katafalku, odbyło się nabożeństwo, wymowne usta ks. kaznodziei ogłosiły mieszkańcom ostrzeszowskim chwalebny żywot starosty, wymieniły najwyraźniéj przyczyny przeprowadzenia zwłok nieboszczyka do Jeżowéj-Góry, nie pominęły nauki generalnéj dla zgromadzonych słuchaczy i o 2-giéj z południa — o moja niewymowna radości! — nieboszczyk Bawolski ulitował się wreszcie nademną i opuścił kościół ostrzeszowski. Przez miasto jechaliśmy wolno, bo cechy i bractwo (nie mając nic lepszego do czynienia) wyprowadzały starostę aż do figury; ale gdy pokłonem chorągwi ostatnie staroście oddano pożegnanie, gdyśmy się z przed oczu ostrzeszowskiego obywatelstwa spuścili za górę, krzy-

knąłem: «ruszaj, co koń wyskoczy!» i rzeczywiście pędziliśmy z Bawolskim daleko gwałtowniéj, aniżeli szybkie sztejnkiélerki z poczty warszawskiéj. Konie, które w miejsce skradzionych kupiłem w Gostyniu, rozprzągłem na dwie furmanki; jedną parą powoził mnie lokaj Jan, drugą parą Mateusz wiózł Bawolskiego.

— Panie; konie ciągle parskają, będą nam radzi w Jeżowéj-Górze — mówił Mateusz, gdyśmy na noclegu stanęli; — żeby tylko ta baba słowa swojego dotrzymać nie chciała.

— Jaka baba?

— Żona tego nieboszczyka, którego wieziemy.

— Cóż to się ma znaczyć?... zkąd tobie przychodzi ta bezecna śmiałość, abyś panią starościnę babą nazywał?

— E! proszę wielmożnego pana; toć-że ja nie o pani starościnie myślę.

Porwawszy Mateusza za kołnierz, trzęsąc się z przerażenia, odprowadziłem go na stronę.

— Mów, powtórz od kogo i co słyszałeś?...

— Bez urazy pańskiéj, jeszcze wczoraj na wieczór organista Wojciechowéj powiedział pod sekretem, a Wojciechowa mnie i Janowi dzisiaj powiadała, że wielmożny pan nie mogąc znaleźć...

— Milcz! niechaj te wyrazy przez usta twoje nie przejdą. Janie! Mateuszu! słuchajcie oto każdy z was ma tymczasem po 100 złp., ale milczenie bezwyjątkowe, pary z ust nie wypuścić.

«Dziękujemy wielmożnemu panu» odbierając

pieniądze, wymówili obydwaj z pokłonem; Mateusz zaś dodał, — «ale jak ta baba słowa dotrzyma?»

— Jakiego słowa?

— Ona mówiła, że na wiosnę odwiedzi grób mężowski; wprawdzie gadała po pijanemu, aleć ona nigdy trzeźwą nie jest i może po pijanemu swój zamiar wykonać.

— Już ja na to poradzę; wy tylko, powtarzam, pary z ust nie wypuszczajcie.

Gdyby nie list rano na pocztę odesłany, donoszący, że już wiozę starostę, z pewnością byłbym powrócił do Ostrzeszowa i zaniechał przeprowadzenia zwłok starosty; ale stało się!... Więc napisałem tylko do ks. Bonifacego stosowne ostrzeżenie, z którym natychmiast umyślnego posłańca wyprawiłem. Dalsza podróż nasza nie odbyła się bez pomniejszych przypadków; za Kaliszem w mieście Turku złodzieje już zajęli z bryki starostę, mniemając, że to jest skrzynia z towarami — szczęściem, że się Mateusz zawczasu przebudził; w Łowiczu złamało się koło pod starostą; w Warszawie w skutek fałszywéj denuncyacyi szukając koronek brukselskich, otwierano trumny na komorze; w mieście Piaskach za Lublinem pijany Mateusz wywrócił brykę i zwierzchnią trumnę rozłupał. Ale że wszystko na świecie ma swoje granice, więc téż i moje utrapienia skończyły się, gdy o milę przed Kamieńcem Podolskim proboszcz z Jeżowéj-Góry zwłoki ś. p. starosty Bawolskiego pod swoje odebrał rozkazy. Tego samego dnia jeszcze stanąłem w Je-

żowéj-Górze. Wdzięczność starościny, tkliwe przywitanie Maryni, szczere uściski starościca, były dla mnie miłą za wszystkie doznane nieszczęścia nagrodą, ale o tém później.

Co tylko było po mieczu i po kądzieli z domem Bawolskich spokrewnione, co tylko zaszczycało się przyjaźnią, sąsiedztwem i znajomością, co tylko rościło prawo do uczuć obywatelskich, nakoniec co tylko żywiło iskrę ciekawości, wszelkiego rodzaju ludzie, rozmaitego stanu i wieku, płci obojéj, kilkutysięczna publiczność zgromadziła się w dniu 2 grudnia na granicy obrębu miasta Kamieńca Podolskiego. Starościna, w grubą żałobę przybrana, przybyła w samo południe.

Po trzechgodzinném oczekiwaniu ukazał się z poza pagórka ośmiokonny karawan, gorejącemi otoczony pochodniami, a postępując zwolna, stanął wreszcie w oznaczonym miejscu. Ks. sufragan w asystencyi licznego duchowieństwa odmówił ciche modlitwy, poczém szmer publiczności zamilkł jakoby instynktem, a na dwułokciowe rusztowanie, czarném okryte suknem, wstąpił znany powszechnie, czcigodny, wspaniałéj postaci marszałek i w następujące odezwał się słowa:

«Przezacnie zgromadzeni panowie obywatele!»

«Uprzedzając łzę w żalu nieutulonéj rodziny, stawam pośród was i na krańcu obrębu miasta Kamieńca Podolskiego mową moją, imieniem obywatelstwa, przyjmuję zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha starosty Bawolskiego. Są chwile w ży-

ciu ludzkiém, gdzie ciężar powinności najśmielsze przytłacza siły, gdzie głos obywatela, wsiąkając w potęgę uczucia, rozpływa się i niknie na obszarach zbolałego serca. Taką jest obecna chwila i dla mnie; oto są zwłoki starosty Bawolskiego, oto ja jestem wolą waszą powołany do złożenia przedwstępnego hołdu nieodżałowanéj pamięci niegdyś naszego współobywatela, a dzisiaj już niebieskich sfer mieszkańca».

«Jeżeli w powodzi cnót obywatelskich szlachetne znamienitych pamiątek imię nieugiętą losu rzeczy ludzkich zmianą w smutne przechodzi zapomnienie, czujemy rozdzierającą boleść, że przeszłość nie jest naszym udziałem; ale kiedy ta srata, bluszczem zwycięstwa owiana, na całunie familijnéj miłości powróconą zostaje, zaiste pierś nasza chlubną rozpiera się dumą, że ciebie niezrównana w obowiązkach żono, do naszych ozdób obywatelstwa liczymy! Tak jest, panowie! j. w. starościnie i tobie, przezacny, tutaj obecny młodzieńcze! (mówca na mnie spojrzał, jam się ukłonił) winni jesteśmy, że kość kości naszych, proch prochów naszych, będzie spoczywać na naszém łonie. Ty, pani, zarzewiem małżeńskiéj miłości,— ty młodzieńcze, stałą gorliwości przewagą, na skarbienie praw spodziewanych związków popartą, wielkiego dokonaliście dzieła!..Tam uwielbienie! tu zaszczyt! w równym zyskacie wymiarze; nam radość, że zwłoki ś. p. starosty, zgasłe przyjaźni szczątki, w sercach odrodzonemi zostały!..»

«Płacz wielko-polska ziemico! żeś postradała klejnot, w wnętrznościach twoich złożony, ale nie wzbraniaj nam radości nad odzyskanym skarbem!»

«O drogi cieniu starosty! którego duch na błękitnéj krawędzi życiem nowego pojawu zawidnił, rozpatrz się w naszych sercach, zajrzyj w tajniki uczuć naszych i przyznaj, że w rozdętéj piersi cześć i sława nigdy dla ciebie nie zagasną, a czego ja cząstką słabego umysłu i słowem żalu objąć nie byłem zdolny, usłyszysz pokrótce w mowie wielmożnego sowietnika, niegdyś szwagra twojego, któremu z kolei miejsca ustępuję, ponieważ i ja tylko śmiertelnym jestem człowiekiem!»

Po marszałku istotnie zabrał głos wielmożny sowietnik, którego trzech żon poprzedniczka była rzeczywiście przyrodnią siostrą nieboszczyka starosty. W mowie sędziwego sowietnika wdzięczność osobista główną treść stanowiła a jedynie zakończenie na wzmiankę z méj strony zasługuje.

Sowietnik zapewnił słuchaczy, że, gdyby nie dokuczliwy mróz, złożyłby obszerniejszy obraz swoich wdzięcznych uczuć, i żałował, że nie w porę letnią zwłoki starosty sprowadzono. Po sowietniku pojawił się na żałobnéj trybunie z czarną hiszpańską bródką blady, szczupłéj budowy podkomorzyc, jak się późniéj dowiedziałem, mój współzawodnik o rączkę Maryni. Mówka jego należała do najszczytniejszych, jakie kiedykolwiek słyszałem;

wszakże, pomimo wielu próśb, nie mogłem jéj później do przepisania uzyskać; zazdrość mówcy-poety pozbawiła potomność najpiękniejszéj ozdoby literatury pogrzebowéj; spamiętałem tylko sam początek, wstęp, i składam go do skarbnicy ojczystego języka:

«W nieprzejrzanéj strzeni czasów stnienie jednego człowieka, jest jakoby niedziałką, równającą się stnieniu jętki, a jednak jakże olbrzymią jest jego misya, jeżeli odwiekujemy skrzynię rozmysłów, które jego zamknia mózgowa samorodném wyłonieniem po świecie rozprysła!»

«Chłonią się mocarstwa w kończynach swoich, oceany nie przełamią ziemnych krawędzi, któremi je umanifestowała usamowolniona roda, lecz potęga umu jednego człowieka wszechświat przewalczyć zdoła, bo w swéj emancypacyi do najoddaleńszych krańców bezmiaru opiera się swą jaźnią na kolosalnéj woli ducha i silną prawicą samego sięga bóstwa; targa bezwiednie przesądy zaszarzonych wieków, łamie zapory bezumu swoją silną wiedzą, kruszy gmachy wyrojonych mamideł *mythu* i depcze kamienną stopą fascynacye przetętnionych olimpiad niewiedzowym usankcyonowane wymysłem. O siło i tęgo stworzonego ducha! umie jaźni mojéj! oby wypryski twojéj wiedzy rozżarzyły tlono w cieśniach piersi zżelaźniałych! oby rozpłomieniły iskry stnienia mojego, oby wyłoniły śmiałą myślość moję, abym ją rozgłosił na

stworze świata i godnie z mojéj dzisiejszéj wywiązał się misyi!...»

Podkomorzyc zawstydził sowietnika; mówił przynajmniéj pół godziny, a mówił z takim zapałem, że aż nos jego był w ambarasie o pomoc najrychlejszą. Słuchacze jednozgodnie przyznali mu dnia tego palmę pierwszeństwa.

Tak trzema mowami uczczone na wstępie zwłoki ś. p. Bawolskiego w najparadniejszéj procesyi ruszyły daléj i już wieczorem złożone zostały na katafalku w kościele farnym Kamieńca Podolskiego.

Przez trzy dni odpoczywał ś. p. Bawolski w Kamieńcu Podolskim; nabożeństwa żałobne były nieustanne, kazań żałobnych sześć a głosów obywatelskich siedm naliczyłem. Możnaby dwa tomy wydrukować pochwałami, przez te trzy dni wygłoszonemi. Czwartego dnia, t. j. 6 grudnia, wyprowadzono starostę z Kamieńca z równąż, jak przy wprowadzeniu procesyą. Siódmego grudnia przyjmowano starostę na granicy niegdyś dóbr jego, i w tymże samym dniu wprowadzono go do kościoła w Jeżowéj-Górze. Tutaj cały tydzień trwały obrzędy, mów było bez liku: komu się tylko co przyśniło, wstępował na katedrę, umyślnie ku temu przyrządzoną. Przy téj nawałnicy rozdrażnionego języka miał miejsce komiczny przypadek. Jeden z chwalców nieboszczyka — nie pomnę, świecki czy duchowny — rozpoczął rzecz temi słowy:

«Po czternastoletniéj nieobecności zkądżeś to

przybył starosto?...» Głos mówiącego zatrzymał się po tém zapytaniu; mojemu, codzień pijanemu Mateuszowi, w ową chwilę stojącemu pod chórem, zdawało się, że należy odpowiedzieć, a więc donośnie zawołał: «Z Ostrzeszowa, panie dobrodzieju! ja go wiozłem, ale mieliśmy turbacyi niemało, niżeli przyjechaliśmy do Jeżowéj-Góry». Wszyscy się serdecznie uśmieli, ale ja rozumiałem, że ze wstydu w ziemię się zagrzebię, bo truteń, wyręczając mówcę, zaczął daléj coraz głośniéj opowiadać historyą moich kłopotów, umartwień i nieszczęść. Z kolatorskiéj przy wielkim ołtarzu ławki, w któréj obok Maryni za duszę nieboszczyka mówiłem pacierze, zanim się przedarłem przez nabity ludźmi kościół, pijanica już do miasta Turka zajechał, gdzie to złodzieje starostę wykradli.

Piętnastego grudnia nakoniec przystąpiono do wstawienia trumny w wydrążony filar kościoła. Dwunastu obywateli zaniosło na swoich barkach zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha starosty Bawolskiego w miejsce ostatniego spoczynku; wsuniono trumnę w szczupły otwór; księża odśpiewali *requiem*; mularze już podnieśli kielnie, aby leconém wapnem zamurować skrytkę nieboszczyka; gdy wystąpił zapłakany starzec w podszarzanym kontuszu i ostatni do zmarłego treściwie przemówił:

«Jaśnie wielmożny starosto!»

«Towarzysz i trzydziestoletni sługa twój, Józef Dwojno, estimując cię przez całe życie najwierniejszym affektem, przynosi do grobu twojego słowa

żałoby osieroconego serca. Jeżeli jest prawdą, o czém nie wątpię że *Omnipotens Deus* sprawiedliwość po śmierci wymierza, bezzawodnie spotkała cię, panie starosto, niejedna już na tamtym świecie plaga, ale zarazem i nagroda minąć cię nie mogła, bo obok wielu ułomności grzesznego człowieka tę miałeś zasługę, żeś nigdy ubogim nie gardził szlachcicem. Wojciechu starosto! Józef Dwojno śle ci ostatnie pożegnanie; bądź zdrów, do zobaczenia». — Otarł łzę i machnął ręką na mularzy, którzy posłuszni skinieniu jęli się do pracy. W godzinę później błyszczały na lewym filarze kościoła w Jeżowéj-Górze olejno malowane rysy Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion Bawolskiego, — czarna marmurowa tablica z napisem pochwalnym, — w białym alabastrze wyrznięty herb Bawolskich, — poniżéj klepsydra, kosa, łopata, — a u samego dołu popiersie aniołka ze skrzydłami.

Nieutulona w żalu rodzina, grono licznych przyjaciół, księża i domownicy udali się do dworu, aby pochwały nieboszczyka powtórzyć; organista zamknął kościół, i zdawało się, że życzenia starościny w zupełności ziszczone zostały, i że prawo moje do odebrania nagrody za tę, familii Bawolskich wyświadczoną przysługę, jest już niezaprzeczone, — czyli, że po przyzwoitym upływie czasu piękną Marynię przed ślubny zawiodę ołtarz. Taką to była moja uzasadniona nadzieja w dniu 15 grudnia i tak też wszyscy sądzili, lecz nie tak było zapisaném w księdze moich przeznaczeń.

W dzień drugi świąt Bożego Narodzenia Balbisia ze swoim mężem oświadczyli mnie starościnie o rączkę jéj wnuczki z wszystkiemi formułkami, to jest: przyjechali po południu; koni wyprzęgać nie dozwolili; przyjechali wystrojeni; rozpoczęli rozmowę o potocznych rzeczach, skierowali ją zwolna do zawieranych w sąsiedztwie małżeństw; rozszerzyli się nad pociechą, gdy się córki lub wnuczki za swego życia rozporządza; oddali nieskąpe pochwały przymiotom duszy i ciała panny starościanki, nadmienili, że wiek Maryni dozwala babce żądać pociechy; — potém pułkownik otwarcie wymienił moje genealogiczne, osobiste i majątkowe zalety a Balbisia, całując starościnę w ramię, wyrzekła, że właśnie w tym celu przyjechali, aby mnie oświadczyć o rękę Maryni, i że szczęśliwą będzie się mieniła, jeżeli pani starościna prośbie jéj brata nie odmówi, a projekt w Białosęku poczęty, spełniony zostanie. Starościna ze łzami oświadczyła, że szczęście Maryni jest jéj jedynym w tém życiu celem, że nic przeciwko mnie nie ma, owszem, że mi zawdzięcza znamienitą przysługę z tylu kłopotami połączonego sprowadzenia zwłok śp. jéj męża, i że nawet mi już dała przyrzeczenie ręki Maryni, a więc — że ostatnie słowo tylko od Maryni zależy. Przywołano Marynię; zapytana dziewica zarumieniła się, spuściła oczy i całując kolana babki oświadczyła, że szanuje jéj wolę, i że z wdzięcznością przyjmuje wybór babki. Nastąpiły serdeczne pułkownikowstwa

podziękowania; posłano po mnie konnego do Białosęku, a żem już w lasku brzozowym czekał, więc przybyłem niebawem, i znów podziękowania, całunki kolan starościny, rącząt Maryni, radość, szczęście, zamiana pierścionków; przyjechali marszałkowstwo i pan podkomorzy, wniesiono starego węgrzyna. Marszałek wypił zdrowie zaręczonych w ręce podkomorzego, podkomorzy w ręce pułkownika, pułkownik oddał kielich wracającemu z nieszporów proboszczowi, ksiądz proboszcz wychylił z całą szczerością, jam nakoniec życzącym i łaskawym pełnym kielichem podziękował; brakowało tylko obecności Erazma, który w dobrach sobie oddanych, w Grzechotkach, ciężkiéj uległ niemocy. Dziewiątego stycznia, jako w dzień imienin wnuczki, starościna zaprosiła całe sąsiedztwo, niejako na powtórzenie zaręczyn. Dwunastego stycznia już ogłoszono zapowiedź, bo starościna zwyczajem prababek naszych wyprawnie w tiulach, nie w gazach dawała, ale w klejnotach, srebrach stołowych, bieliźnie, w całych sztukach jedwabnych materyi, w inwentarzu gospodarskim żyjącym i nieżyjącym, co wszystko już dawno nagromadziła i dla swéj jedynéj Maryni przygotowała. Dziewiętnastego stycznia wyszła druga zapowiedź; 24 stycznia Marynia suchotami pościła; 25 odbyła spowiedź i 26 stycznia już zaczęły ją panny garderobiane do ślubu ubierać, gdy do pokoju starościny wszedł zasmucony proboszcz z doniesieniem, że przyjechał pan asesor z doktorem i stanęli na plebanii, i że jutro mają

otworzyć grób śp. starosty, bo w tym grobie leży nie śp. starosta, ale *jakiś* szewc z Ostrzeszowa, zamordowany przez żonę, o którém to morderstwie sądy pruskie kryminalne zawiadomione, gdy zamordowanego w miejscu popełnionéj zbrodni nie znalazły, wezwały pośrednictwem posła dworu berlińskiego sądy gubernii podolskiéj o śledztwo zamordowanéj osoby, o wykrycie, jakiego rodzaju były rany, zadane owemu szewcowi, i t. d.

Dalszy ciąg méj powieści znajduje się w aktach sprawy, przeciw mnie wytoczonéj a obecnie w apelacyi znajdującéj się, bo starościna do głębi serca obrażona, nie tylko, że mi wnuczki nie dała, ale nadto, nie chciwością ale zemstą powodowana, wytoczyła przeciw mnie proces o 17,000 złp.; wyłożonych na koszta pogrzebu. Zwłoki kulawego Wojciecha szewca wyrzucono na cmentarz; otwór w filarze kościoła w Jeżowéj-Górze jest jeszcze niezamurowany.

Donosił mi pułkownik K***, że marszałek ze zmartwienia, iż szewca pod Kamieńcem Podolskim mową swoją witał, przez dwa miesiące na żółtaczkę chorował, i że z licznych mówców tego pogrzebu każdy, jak może, wypiera się zaszczytu krasomówstwa na pogrzebie poczciwego szewca Wojciecha.

Wyrok ostateczny podam do wiadomości moich czytelników, skoro mi ogłoszonym, będzie; ale mój nader szanowny obrońca twierdzi, że poprowadzi jeszcze tę sprawę najmniéj lat trzy.

PRZYPADEK
KTÓRY NA WŁASNE OCZY WIDZIAŁEM,
w istocie mały, a wielkiego wstydu narobił.

Wstęp smutny. Powiastka zwyczajna. Zakończenie wielce dramatyczne i niezaprzeczenie oryginalne. Krótki sens moralny w dodatku.

WSTĘP.

Jedną z wielu upowszechnionych wad naszego kraju jest zbytnia ilość koni cugowych przy szczupłéj liczbie koni roboczych. Bardzo często widzimy dzierżawcę maleńkiéj wioski, szumiącego czwórką lub piątką cugowych rumaków a niemającego do gospodarstwa więcéj jak dwie nędzne szkapy fornalskie. Wprawdzie i cugowe bywają o tyle ochudzone, że im wszystkie żebra zdaleka policzyć można, ale zawsze są to cugowe, to jest: zaprzężone w szuwaksowany rzemień z mosiężnemi sprzączkami, na krakowskich chomontach, lub, gdy

jest pan dumniejszy, na angielskich szorach. Takiż sam stosunek istnieje co do pojazdów; bryczki porządnéj i wygodnéj w wielu dworcach szlacheckich nie znajdziesz; o półtoraczny, dobrze okuty wóz fornalski, nie pytaj; natomiast pudło na resorach, gdyby i przyszło czwartą część konającego majątku na to odłożyć, gdyby i za pożyczone pieniądze, być musi, albowiem każda *edukowana i dobrego urodzenia* córka obywatelska, wybierając się zamąż, przedewszystkiém marzy o koczu, — i niemającemu nowego kocza, liberyi i koni cugowych nie oddałaby swéj ręki, chociażby kawaler łączył w sobie wszystkie przymioty zacnego człowieka.

Wyjątek w téj mierze zdarza się tylko przy *desperacyi* miłosnéj i wtenczas mówią, że panna zrobiła wielkie poświęcenie. O dziedzicach nie rzeknę nic, bo jestże w Polsce przykład, aby dziedzic dóbr ziemskich, niechby te dobra ziemskie tylko 3,000 złp. czystego dochodu przyniosły, aby, mówię, dziedzic żenił się bryczką, aby dziedziczka dóbr, 3,000 złp. przynoszących, bryczką jeździła?... A kto widział? tego u nas nikt nigdy nie żądał. Jest albowiem jak wół wyraźne prawo w kodeksie obywatelskim rzeczypospolitéj babińskiéj: «wszystkie dziedziczki dóbr ziemskich, jako cierpiące na jeneralne spazmy i familijne hemoroidy, winny się chuśtać na resorach a to pod utratą wszelkich *fumów* dziedziczki». W Niemczech inaczéj; tam ziemianin, mający 5000 talarów czystego dochodu, długo się namyśla czy kupić koczobryk, czy jeździć

jak dawniéj budką, lakierowaném płótnem pokrytą — zwyczajnie *co kraj, to obyczaj.*

U nas w Polsce jest obyczaj, kocz! prawo babińskie po temu, a więc koniecznie kocz!... i chociażby na starość przyszło piechotą podróżować, z młodu najkonieczniéj potrzebny jest kocz bez żadnego względu na ilość posiadanego majątku, na niepewność dochodów, bez względu co będzie i jak będzie; główna rzecz, aby żony i córki obywatelskie jeździły jeżeli nie oszkloną landarą, lub co najmniejsza, karetą! to przynajmniéj koczem, mówię wyraźnie k o c z e m!

POWIASTKA.

W dobrach jednego z wielkich niegdyś panów służył przed 15 laty ekonom; imię jego Rafał, nazywał się Kukawka; wedle powszechnego u nas zwyczaju pobierał zasług złp. 300, ordynaryi twardego zboża korcy 15, wierzchowca na pańskiéj stajni i 2 krowy na dworskiéj oborze; o nierogaciźnie i o drobiu nie wzmiankowano w kontrakcie, tylko ustnie pan komisarz oświadczył: *„resztę wolno waćpanu chować w proporcyi“.*

Kiedy Rafał Kukawka obejmował urząd ekonoma w dobrach wielkiego pana, miał jednę kapotę z taśmami od wielkiego święta, — kożuch na zimę szaraczkiem pokryty, — szarawary skórką cielęcą oblamowane, — jeden garnitur z surowego

płótna na lato, — jednę parę juchtowego obuwia, — nieco bielizny w dębowéj skrzynce, — kamizelkę pikową z cynowemi guzikami, — granatowy kaszkiecik z rydelkiem, — jednę brzytwę z paskiem, — chustkę cycową na szyję, (chustek do nosa, skarpetek i rękawiczek wówczas nie używał), siodło za 10 złp. drogo kupione, — bat krótki na jałowcu — charapnik na sarniéj nóżce oprawny.

W pięć lat późniéj miał pan Kukawka kilkanaście sztuk bydła rogatego, 2 konie do zaprzęgu, jednego do wierzchu, 3 źrebce na zgoninach, sporą trzodę nierogacizny, drobiu podostatkiem, sprzętów gospodarskich przyzwoity zasób, bryczkę parokonną i jednokonną, wyżła, fuzyjkę, fajkę, tabakierkę, nieco mebelków w domu, kilka obrazków książąt niemieckich, kilkoro dzieci i żonę Małgorzatkę. — W 10 lat późniéj pan Kukawka dzierżawił wioskę Skwarek, prowadził hurtowny handel okowitą i po wszystkich jarmarkach tytułowano go: «panie Kukasiński dobrodzieju»!

Kiedy się Kukawka w Kukasińskiego zamienił i czy się to stało z pozwoleniem heroldyi czy bez pozwolenia, tego opowiedzieć nie mogę; wiem tylko, że w roku 1840, jakoś na jesień, widziałem tłustego obywatela w biurze informacyjném Kaczanowskiego na Krakowskiem Przedmieściu, który się tamże pilnie dopytywał, ażali już familijne dokumenta Kukasińskich nadeszły z Podola.

Roku 1844, w powiecie NN. w gubernii NN. w dworskiéj rezydencyi dóbr ziemskich NN. zastawny dzierżawca W. Rafał Kukasiński, dnia 10 grudnia o godzinie 4 z południa, leżąc w merynosowym szlafroku na kanapie, palił ze stambułki gelb-virginią z drejkoeniszkiem mieszaną i następującą prowadził rozmowę z wielce szanowną małżonką swoją:

— Mniejsza o pieniądze; ale, moja duszo, nasza dawniejsza *exystencya* tak jest znana w sąsiedztwie, że ja przyznam ci się, duszko, wstydziłbym się jeździć koczem, zwłaszcza że i ten Kaczanowski jeszcze mnie nie wylegitymował.

— Mnie się zdaje, żeby on cię i wylegitymował, żebyś ty do niego koczem zajechał.

— Tak gadasz, jak się znasz; w Warszawie koczem jeżdżą wszyscy dorożkarze, i jak zapłacisz złotówkę, możesz od rogatki do rogatki koczem paradować.

— Tém bardziéj, kiedy w Warszawie za złotówkę wolno każdemu koczem jeździć, dlaczego my na wsi, mając 40,000 summy hypotecznéj, koczem jeździć nie mamy; ale tobie to nie warto i rozsądnie poradzić, zawsze ci jeszcze Kukawka z parokonną bryczką w głowie. Bywało się pod wozem, można być i na wozie.

— Poczekajmy jeszcze, kochanie; może ja na św. Jan skończę z panem hrabią o kupno Paździerza, wtenczas zwłaszcza że się w inne prze-

prowadzimy strony, dlaczegóżbym nie miał kupić kocza; a i koni tymczasem dobiorę maścistych i pomyślałoby się o nowych chomontach, o płaszczu szaraczkowym dla Mateusza, byłoby jakoś jedno z drugiem.

— Ty zawsze, kiedy ja ciebie o co proszę, wyjeżdżasz ze swojemi obietnicami, a nigdy nic dla mnie uczynić nie chcesz. W całém sąsiedztwie wszyscy mają kocze, nawet żona tego bankruta Kozigłoskiego paraduje koczem, a ja, co całe życie pracowałam, będę jak głupia jeździła bryczką. Wiesz co? trzy miesiące nie byłam w kościele dla téj naszéj żółtéj bryczki, co ją już wszystkie dziady z całéj parafii palcem wytykają, ale gdyby mi przyszło i na Boże Narodzenie nie być w kościele, żółtą bryczką nie pojadę.

— To ją każę Stefankowi przemalować na zielono.

— Dureń stary z ciebie i kwita; *nie wartało*, żem wyszukała nazwisko Kukasiński, tobie było na zawsze pozostać Kukawką.

— No, no, moja jejmość, tych żartów za wiele; durniem nie byłem i nie będę, a jeżeli ci koniecznie tak pilno do kocza, niech cię rejment djabłów weźmie, kupię ci kocz, tylko mi nie skrzecz nad głową, bo ja w tym roku mam za swoje: siano zgniło, pszenica na pniu porosła, owsa i jęczmienia jak na lekarstwo, kartofle przepadły, a jeszcze do tego propinacyą ścisnęli, ani na *credit* szynkować

ani tańców po 10-téj nie wolno, handel okowitą ustał, wszystko idzie opak.

— Ja sprzedałam dzisiaj okowity 30 garncy Herszkowi.

— Po czemu?

— Po 3 złp. groszy 5.

— Żebyś ty pięć lat konała, wszyscy już i po groszy 10 sprzedają.

— Ale ja dolałam dwa dzbanki wody.

— I cóż, żyd nie poznał?...

— Miał poznać, kiedy ja statki wysmarowałam alkoranem, więc okowita jak zawsze pokazała jedenastą próbę.

— Nie alkoranem tylko alkoholem, nauczże się gadać, jak należy.

— Jak będę miała kocz, to się i gadać nauczę.

Marynka, 8-letnia córeczka, w tę chwilę wciągnęła za ogon miaucz ącego kota i rozmowa państwa Kukasińskich zamieniła się w śmiech nad dowcipem Maryni.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia roku, jak wyżéj 1844, pan Kukasiński równo ze dniem wyłoiwszy skórę parobkowi z gorzelni, jął się do przemierzania okowity w cztery kufy, które wieczorem zamierzył wyprawić do Grochowa pod Warszawę, i już się słońce ku południowi zbliżało a pan Rafał jeszcze w gorzelni gospodarował, gdy

trzecia dziewka nadbiegła z zapytaniem, czy jegomość pojedzie do kościoła, czy nie pojedzie.

— Powiedz pani, że nie pojadę, bo mi się zmylił rachunek i muszę mierzyć na nowo.

— Pani prosi, żeby jegomość przyszedł powiedzieć, jak się drzwi do *koca* otwierają, bo karbowy Walenty ukręcił tę złotą gałkę.

— Żeby on szelma jasności niebieskiej nie oglądał! kto kazał temu niedźwiedziowi łapą swoją *majndrować* przy koczu! Cham myślał zapewne, że to kłonica przy wozie.

Po tych słowach, ze złością wyrzeczonych, napisał pan Kukasiński na belce siódmą kreskę za ósmym krzyżykiem, wygnał dwóch parobków z piwnicy, wziął do ręki świeżą dębową klepkę z niezestawionéj jeszcze nowéj kadzi zacierowéj, zamknął drzwi na klucz i spuściwszy tenże klucz do Portugalii, sążnistym krokiem ruszył do dworu.

Przed dworem stał w cztery fornalskie konie zaprzężony kocz żółty na wysokich resorach, suknem granatowym wybity, z wązkim koziołkiem bez fartucha, na giętych żelaznych prętach, bardzo wysoko wyniesionym. Koła rozmiaru tych kół, które Ewans daje do sieczkarni, dwa żółte, dwa czerwone a wszystkie cztery pomiędzy sobą równe, trzymając u dołu koléj tak nazwaną Saską, u góry odbiegały od pukladu z każdéj strony po $1^1/_2$ łokcia; obręcze wyszlufowane wzmacniało 12 nowych, już na wsi zrobionych cybantów. Był to sprawunek za złp. 470 na święta wprost z Pocie-

jowa do Skwarków sprowadzony. Kiedy jegomość przyszedł do kocza, karbowy Walenty właśnie próbował kowalskiemi obcęgami pochwycić sztyft, w mosiężnéj gałce ukręcony, a fornal Maciéj małym toporeczkiem podważał drzwiczki niby ku ulżeniu zardzewiałym zawiasom; jejmość otoczona dziewkami, stała zafrasowana tuż przy fabrykantach.

— O Jezu! Jezu! — krzyknął Walenty, gdy go jegomość ową świeżą dębową klepką przez plecy ściągnął.

— A szelmo! a złodzieju! a niegodziwcze! naści patent na ślusarza od pojazdów.

Mateusz, nie czekając kolejki, rzucił toporek na ziemię i jednym susem płot od ogrodu przesadził.

— Dam ja ci toporkiem drzwiczki do kocza otwierać, — krzyknął za Mateuszem jegomość, i popuściwszy Walentego, obrócił się do żony. — Więc ty nie mogłaś się doczekać, aż ja z gorzelni powrócę?

— Dziesiąta godzina wybiła, wszyscy ludzie idą już do kościoła.

— A szelmy! taką mosiężną gałkę ukręcić; — i jakżeż teraz otworzyć bez téj gałki! a żeby was paraliż zaraził z waszém majsterstwem, to ta bestya niedźwiedzią łapą ukręciła. — I znów jegomość Walentego lunął świeżą klepką dębową raz, drugi i trzeci. Widząc więc Walenty, że mu nie wypada dłużéj placu dotrzymać, z obcęgami w ręku dał drapaka i Mateusza na pastewniku dogonił.

— Tylko się, mój mężu, nie gniewaj; ja już

przystawię stołek, i tak wlizę bez otwierania tych nieszczęśliwych drzwiczek.

— Patrzajcie, po stołku będzie wchodziła do kocza i przed kościołem po stołku będzie wychodziła z kocza, także mi mądra? ale onaby już i po drabinie wlazła, byle tylko jechać w koczu. A toćże przecież masz drugie drzwiczki.

— A prawda!

— Jagna bież jeno na pastewnik, tam pod stogiem stoją obydwaj majstrowie; powiedz Mateuszowi, jak nie powróci do koni, dam mu Narodzenie, aż mu skóra zesinieje.

Jagna pobiegła. Gdy Mateusz powrócił do koni i wielmożnego pana w kolana pocałował, wielmożny pan dał mu tylko jednego kułaka w kark. Mateusz rad, że się na kułaku skończyło, wgramolił się na koziołek i podane mu przez Jewkę lejce i bicz przyjął nie bez nowéj trwogi, czy potrafi z tak wysokiego koziołka szczęśliwie do kościoła zajechać.

— Słuchaj jeno, Mateuszu, — mówił udobruchany i widokiem ekwipażu rozradowany jegomość, — zajeżdżając przed kościół, weźmiesz się na lewo i zrobisz około dzwonnicy zakręt, abyś stanął tą stroną, gdzie gałka nieukręcona.

— Dobrze, wielmożny panie, już ja wiem, zaraz od księżéj stodoły złożę na lewo.

— Tylko przy księżéj stodole ostrożnie, bo tam są doły po kartoflach.

— Ale mężu! któż mnie drzwiczki otworzy, jak zajedzie przed kościół.

— Nie możesz sama otworzyć?

— Ale jakżeż ja z tak głębokiego kocza wychylić się mogę, zresztą może nie potrafię. Czy nie mógłby Grzesio stanąć za koczem?

— W czémże pojedzie, obdarty jak złodziéj, usmolony jak kominiarz.

— Ja go kazałam umyć i mógłby się ubrać w te rzeczy, które to szynkarka wzięła od tego podróżnego pijaka.

— Jak tam chcesz, tak i zrób.

W pięć minut potém Grzesio, 15-to letni chłopak, który w lecie źrebce pasał a w zimie w piecach palił, w buchastym fraku, w dostatnich pantalionach, z nieco zaprzestronnym kapeluszem na głowie, gdy jejmość wsiadała do kocza, stanął w tyle, uchwycił się za rzemienie i z wielkiém ukontentowaniem zawołał: ruszaj Mateuszu! — Patrzał się za odjeżdżającemi wracający do gorzelni zadowolniony jegomość; patrzały się z podziwem pozostałe dziewki dworskie; patrzał się z pastewnika karbowy Walenty; na wsi, kto tylko oczy miał w głowie, patrzał się to na Mateusza na wysokim koźle, to na żółty puklad na wysokich resorach, to na ogniście wystrojoną jejmość w pukladzie, to nakoniec na przebranego Grzelę, którego mało kto poznać mógł.

Droga przez wieś i droga za wsią aż do samego kościoła we wsi sąsiedniéj była piasczystą; Grzesio mocno się trzymał za rzemienie, na nos wpadający mu kapelusz łokciem na czoło podsu-

wał i jakoś było wszystko dobrze; — w sercu zaś pani Kukasińskiéj, odbierającéj najniższe pokłony od idących do kościoła włościan, był raj żadnym językiem niewysłowiony, a myśli o wrażeniu, jakie na sąsiadach uczyni, gdy koczem z lokajem przed kościół zajedzie, i gdy koczem z kościoła odjeżdżać będzie, piętrzyły się w piramidę dumy przynajmniéj tak wysoką, jak szczyty naszych galicyjskich Tatrów.

ZAKOŃCZENIE.

Każdemu ze znających obrządki kościoła rzymsko-katolickiego wiadomo, że w pierwsze święto Bożego Narodzenia jeden ksiądz trzy msze św. odprawia. Otóż w parafii NN. ksiądz proboszcz odprawiszy mszę drugą, szedł ku plebanii a lud wytoczył się na cmentarz i witał się ze znajomymi, którzy schodzili się na trzecią mszę św. Kilka pań z córkami i kilka pań bez córek, kilku sędziwych obywateli, młodzież dorosła, młodzież ze szkół przybyła, czyli szanowne obywatelstwo parafii o któréj mowa, także przystanęło na cmentarzu i powinszowania dosiego roku krzyżowały się w najlepsze, gdy w tém przy ksieżéj stodole palnął ktoś z bicza. Wszyscy spojrzeli się ku stodole; miałem i ja oczy ku patrzeniu; patrzę się więc, widzę cztery fornalskie koniki, widzę koziołek wysoki a na nim znanego czytelnikom Mateuszka, widzę żółty puklad na wysokich resorach, widzę

w pukladzie szlachciankę z ogromnemi kokardami szafranowego koloru; to wszystko widzę, zarazem słyszę na cmentarzu znagła szerzący się śmiech i równocześnie wrzask, hałas i wołania ze wszystkich stron: «patrzaj! patrzaj! kumie! kumie! wejgo! wejgo»! A gdy i panie zawrzasły: «pfi! pfi! pfe»! ledwo mi oczy na wierzch nie wyszły z ciekawości, z czego się lud poczciwy tak serdecznie śmieje i na co panie wołają pfi! pfe!

Istotnie jestem w kłopocie, jak to opisać, co i ja w końcu spostrzegłem; — ależ należy cofnąć się na chwilę w opowiadaniu.

Gdy Grzelę ubierali do służby lokajskiéj, włożyli na niego frak i kamizelkę i odzienie, na które krawcy żądają sukna łokci dwa; dano mu nawet chustkę na szyję; jak wiadomo, miał i kapelusz przestronny, miał i obuwie przyzwoite, proszę zgadnąć, o czém zapomniano?... Oto Grzesio nie miał szelek i gdy Mateuszek, objeżdżając dzwonnicę, silnie stuknął o kamień, przestronny kapelusz wpadł Grzesiowi przez nos aż na brodę, a dwa łokcie sukna, w najnieszczęśliwszéj chwili zwolnione, opadły aż na pięty Grzesiowi; że zaś Grzesio pod dwoma łokciami sukna nie miał cztérech łokci płótna, więc oryginał strony odwrotnéj był u Grzesia dla wszystkich najwidoczniejszy, a całość postawy i poruszeń biednego chłopca, wiatr igrający z połami fraka, dozupełniły widoku, na który człowiek w godzinę śmierci swojéj jeszczeby roześmiać się musiał.

SENS MORALNY.

Rycina tego sławnego *ekwipażu*, którą powyżej umieściłem, niechaj nietylko dla Kukasińskich ale i dla tych wszystkich, co nad możność *paradować* pragną, nowym będzie dowodem, że chęć równania się bogatym prędzej czy później smutne, częstokroć najsmutniejsze upokorzenie sprowadza; — niechaj za zwierciadło ich głupstwa posłuży.

CZŁOWIEK STRZELA, PAN BÓG KULE NOSI.

WYBRAŁEM SIĘ DO DŁUŻNIKA,

ZAJECHAŁEM DO WIERZYCIELA.

Zdarzenie obszerne, a z małemi odmianami w całości prawdziwe.

I.

Skutkiem działu majątkowego z braćmi mojemi przypadła na mnie pomiędzy innemi i wierzytelność złp. 9,000 z procentem, od lat trzynastu nieopłaconym; dłużnikiem był Jan Dobruta, dziedzic trzech wiosek. Gdym doniósł panu Dobrucie, że nie myślę przedłużać granic cierpliwości śp. ojca mojego, odebrałem przez pocztę następującą odpowiedź:

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Szanowne pismo WMPana Dobrodzieja z dnia 18 Aprilis 1840 roku doręczonem mi zostało w dniu dopiéro wczorajszym, po powrocie moim z Warszawy. Przedewszystkiém muszę objawić radość

moję, że niedogodna dla mnie okoliczność jest pod wyłącznem rozporządzeniem WMPana Dobrodzieja i aczkolwiek WMPan Dobrodziéj raczyłeś zażądać na nadchodzący św. Jan Chrzciciel wypłaty i kapitału i procentu, to jednakże nie wątpię, że przez charakter obywatelski i przez pamięć na przyjaźń, jaka mnie ze śp. ojcem WM. Pana Dobrodzieja od lat kilkudziesiąt łączyła, bieżącym procentem kontentować się raczysz, a główny interes do przyszłego roku odłożysz; — albowiem generalny nieurodzaj tak w oziminie jako i w jarém zbożu, upadek owiec i różne klęski gospodarskie stawiają mnie nateraz w zupełnéj niemożności zadosyć uczynienia sprawiedliwym żądaniom WM. Pana Dobrodzieja. Przyczém znajduję miłą sposobność zapewnić WMPana Dobrodzieja o moim dla jego osoby wysokim szacunku, szczeréj życzliwości i rzetelném poważaniu, które głosząc, wyznaję się WMPana Dobrodzieja obowiązanym i najniższym sługą.

Jan Dobruta.

Chłodna Wólka 1 maja 1840 r.

Ponieważ przy posiadanym przezemnie rewersie pana Dobruty znajdowały się trzynastoletnie doniesienia o generalnych nieurodzajach tak w oziminie jako i w jarém zbożu, o upadku owiec i o rozlicznych klęskach gospodarskich, w rzeczywistość więc nieustannego nieszczęścia trudno mi było uwierzyć; postanowiłem przeto przekonać się naocznie

o tegorocznych nieurodzajach w Chłodnéj Wólce i w razie konieczności do właściwego trybunału pana Dobrutę przypozwać, aby przeciąć to długie pasmo jego generalnych nieurodzajów i klęsk gospodarskich. Z tém postanowieniem wyjechałem z domu rano dnia 5-go maja. Po dwudniowéj, nudnéj i głodnéj podróży 6-go maja pod wieczór jadący z cielętami do Warszawy żydek pokazał mi na górce wioskę, mówiąc: to jest małe Pokrzywy, zarobne wieś także do pana Dobruty należących; jak wielmożny pan będzie minął karczmę trzeba wielki gościniec do Opatowa na prawo zostawić, a jechać na lewo wedle wiatraku prosto do Wielkich Pokrzyw, zkąd już tylko jedna mała grobelka zaprowadzi wielmożnego pana do Chłodnej Wólki; tylko na téj grobelce ostrożnie, bo tam dziurów pełno i można do jeziora wysypać.

Jak żydek rozpowiedział tak téż jechałem; ale że kamieni w kolejach mnóstwo a drożyny kręciły się w najrozmaitszym gzygzakiem, przeto już samym zmierzchem wjechałem na grobelkę.

Stój! stój! bo wywrócisz krzyknąłem na mego woźnicę, — i jednocześnie wyskoczyłem w błoto, które było daleko głębsze, aniżeli się po wierzchu zdawało, gdyż aż pod biodra ugrzązłem, a ręce któremi się od szwanku twarzy odeprzeć chciałem, utonęły pod same ramiona i przez to sprowadził się nos mój do linii poziomej torfiastych substancyj, deszczową wodą na rzadko rozrobionych, zapachu wcale nieciekawego.

Nie mogąc się z przykrego położenia wygramolić, oglądam się na Jędrzeja i już usta do wezwania o pomoc otwieram, aliści ani woźnicy, ani bryki, ani koni nie widać, cicho i głucho wokoło; tylko żaby poważnemi chórami rzechoczą. Rozumiejąc, że i Jędruś i bryka i konie zatonęły, śmiertelnie się wyląkłem; ocieram błotem zabryzgane oczy, wytrzeszczam je w miejsce nieszczęścia; prócz perlącej się kałuży i pochylonéj wierzby niczego więcéj nie dojrzałem. Pot zimny wystąpił na moje czoło, podnoszę prawą nogę, lewa grzęźnie tém głębiéj; dźwigam lewą, prawa leci w przepaść. A dobrodzieju, źle! bardzo źle!... Szukam rękoma kępy albo krzaka jakiego, za któryby się można uchwycić, napróżno, wokoło błoto i błoto; w tę chwilę dzikie gęsi ponad głową moją zawrzasły a derkacz niemal w samo ucho krzyknął, w pobliskim lesie puchacz się odezwał; zabłysło, zagrzmiało, ściemniło się jak w worku, deszcz zaczął padać ulewny.

Jędrzeju! Jędrzeju! hop! hop! — na to moje wołanie nikt z ludzi nie odpowiadał, tylko znów bąk w trzcinie zahuczał. Zbieram wszystkie siły i na nowo dźwigam nogi do góry, lecz rychło przekonany, że przez tę pracę tylko głębokość mojéj uwięzi powiększam, bo już się pod same pachy zaświdrowałem, rozłożywszy przeto ręce na powierzchnią, postanowiłem spokojnie czekać, dopóki ktoś groblą nie nadjedzie lub nie nadejdzie. W téj bezczynności ciała duch mój rozpoczął dumania

filozoficzne, a chociaż skakające mi przed nosem żaby jak gdyby z naigrawaniem wrzeszczały: um-um! nm-um! um-um! ja przecież ciągle dumałem ile pamiętam, nad sceptyzmem Glanvil'a, Hirnhajm'a, Vayer'a, Huet'a, i Bajle'a; nad mistycyzmem Gale'a, More'a, Cudworth'a, i Poiret'a, i nie wiem, jaką koleją wpadłem na Hegla, którego twierdzeniu: że wszystko co jest, dobrem jest!... zaprzeczyć uzasadnione rozumiałem mieć prawo, gdy nagle spostrzegłem na grobli światełko. — Hop! hop! krzyknąłem z niekłamaną radością. — Hopa! hopa! hop! była najrozkoszniejsza dla mnie odpowiedź. Jeszczem raz hop! hop! zawołał, jeszcze raz hopa! hopa! odkrzykli, i pokrótce ujrzałem lube oblicza zbawców moich, świeczką z drewnianéj latarni objaśnione.

— Czy to ty, Andrzeju?

— A jużci ja, wielmożny panie; jak się deresz wyskoczeniém pańskiém zestraszył, jak Skaryszewski [1]) wziął na kieł, tak też i drugiej pary ani sposób było utrzymać; toćże ja przy końcu grobli uderzyłem dyszlem w młynarską chałupę, calusieńkie okno na dwór wyleciało a młynarze rozumieli,

[1]) Wałach, o którym mówił Andrzéj, był w Skaryszewie kupiony, ztąd go też moi stajenni Skaryszewskim nazwali; dają oni także nazwiska panów, od których konie są kupowane, i zdarzyło mi się, że karbowy skarżył się na moję ciotkę, iż do zgonu bardzo delikatna, a tylko się do owsa ogląda.

że djabeł do ich chaty zajechał, i oni dopiero owe raki pieczone zatrzymali i oto, poczciwi ludzie dali latarni i zemną przychodzą szukać wielmożnego pana. Jam myślał, że jegomość nie na tę stronę ale na jezioro wyskoczył, bo tak ogniście chlupło.

Po tem objaśnieniu jął się Andrzej z młynarzem i z jego synem do wywindowania mnie z błota, co niezupełnie było łatwém, i dopiéro gdy synal młynarski przyniósł dwie szérokie tarcice, wydobyłem się z ojczyzny wężów, żab, bekasów, derkaczy i bąków, zostawiając im na pamiątkę moich odwiedzin but jeden, który przy usiłowaniach wygramolenia się zesunął się z lewéj nogi.

— Czy jest dziedzic w domu? — zapytałem młynarza.

— A jakże nie ma być? toćże od samego rana jadą i jadą goście; zapewne i wielmożny pan z powinszowaniem, tylko że oto takie się wielmożnemu panu przytrafiło nieszczęście.

— Co wy mówicie o powinszowaniu?

— A bo to naszego jegomości imieniny, i rok rocznie panowie się zjeżdżają, a on téż nie skąpi im niczego, pewnikiem wielmożny pan nie pierwszy raz w Chłodnej Wólce.

— Miły młynarzu, ja tutaj w życiu mojém pierwszy raz jestem i nie wiedziałem bynajmniéj że dzisiaj św. Jana.

— Dzisiaj! właśnie że dzisiaj św. Jan w Oleju, bo Chrzciciel dopiero po Zielonych Świątkach.

— Więc mówicie że się dużo zjechało gości?

— Co moja narachowała, to już podobno siedmnaście powozów z téj oto strony, a od Opatowa takoż walili się zaraz z południa.

— Czy często wasz dziedzic sprasza tak wiele gości?

— Gości u naszego państwa nigdy nie braknie; ale nawałą to tylko kilka razy do roku: na św. Jan w Oleju, na św. Jadwigę i zaraz potém jakoś w twardéj jesieni na imieniny starszéj panny a i w zapust bywają kuligi.

— Tatulu ozwał się synal młynarski, — a na okrężne, a na Wielganoc, na Nowy rok czy to ich mało najedzie?

Śród téj rozmowy zaszliśmy do chałupy młynarskiéj, gdzie najpierwszą moją czynnością było umyć się i oczyścić z błota, poczém należało i zmoczony ubiór przemienić. Wołam więc Andrzeja, aby z tłomoka wydobył zawinięcie z rzeczami. Upłynęło chwil kilka, zanim Andrzéj powrócił do izby z doniesieniem, że zapewne pan Pawełek rzeczy nie zapakował, bo prócz pościeli rannego tołubka, trzewików i miednicy nic więcéj znaleźć nie może.

To dopiéro mazgaj! nieco rozgniewany wyrzekłem i poskoczyłem sam do bryki szukać w tłomoku zawinięcia z rzeczami. Szukam, przewracam, wydobywam wszystko z tłomoka; pokazuje się, że nie Andrzéj ale Pawełek był mazgajem, bo istotnie nie było żadnego zawinięcia.

— Słuchajcież młynarzu! mój służący zapo-

mniał, jak widzę, włożyć do tłomoka rzeczy i bielizny; nie mogę zatém, zwłaszcza przy imieninach, zajeżdżać do dworu w tak ubłoconém ubraniu, więc u was zanocuję, a wasza żona niechaj mi wypierze to, co mam na sobie; ja wam nagrodzę wszelką usługę.

— Ha! jeżeli wielmożny pan nie pogardzi naszą chatą, niechaj i tak będzie. Najgorzéj z końmi i z bryką, bo w chlewiku to i na dwa konie zaciasno.

— A może tutaj jest karczma i stajnia zajezdna?

— Byłać, ale ją łońskiego roku, podobno że i nasi właśni ludzie, przez gniew na żyda arendarza podpalili; nowéj téż nie ma za co budować; chybaby przyszło do dworskiéj owczarni zaprowadzić, bo na dzisiaj dla przyjezdnych koni do Wielkich Pokrzyw owce wygnali.

— A na wsi u którego gospodarza czyliby nie znalazło się pomieszczenie? Nie chciałbym dzisiaj zawiadamiać waszego pana o mojém przybyciu, z owczarni łatwoby się do dworu doniosło.

— Przez Boga żywego! czy zaś pan przypadkiem nie komornik?

— Zkąd wam przychodzi na myśl komornik? i dlaczegóż wy się tak komornika lękacie?

— O! bo trzy lata będzie na św. Jadwigę, to tyle że u mnie papierów ze swojéj skrzynki wyszukał, a ledwo że mnie za to dziedzic z młyna i ze wsi nie wygnał. Aleć bo i on téż poganin

chciał podczas obiadu łyżki srebrne i widelce i noże ze stołu sprzątnąć, a tu gości huk! E! była też to termedya nie mała; starszy syn pański, pan Kalisz (synowi pana Dobruty było imię Kalikst, ale młynarz dla łatwiejszego wymówienia nazywał go Kalisz), jak go uchwycił za kołnierz, to aż mu całe plecy wydarł; jegomość porwał się do fuzyi, a jejmość, to ją aż mdlenie napadło.

— I jakżeż? wziął srebra czy nie wziął?

— A gdzie tam; jak panowie skoczyli, to ledwo że chudziaczek umknął z dziedzińca; ale co dla naszego państwa było wstyda, to było; a nazajutrz przyjechał tenże sam komornik z pomocą wojskową i, chociaż już ani łyżek ani noży i widelców nie znalazł, to jednakże spisał owce, bydło i het wszystko, co było we dworze i na sypaniu i na lamuzie, a potém miał i starszy pan i pan Kalisz wielki proces z téj okoliczności i podobno obydwaj... ale to tam o tém niewolno u nas mówić... siedzieli pod sekretem w hareszcie przez trzy miesiące, a nam tu imość powiadała, że pojechali do Galicyi po sukcesyą. Śliczna mi sukcesya, kiedy im tam w sukurs posyłali i drób i cielęta i różne wiktuały.

— Mnie się nie lękajcie, komornikiem nie jestem i żadnéj przykrości od waszego pana nie doznacie za to, że mnie przenocujecie.

— Jużci ja miarkuję, że wielmożny pan nie komornik, bo oni straszyciele dzięki Bogu, czterema końmi jeszcze nie jeżdżą; ale że jegomość

oto nie chciał dawać znać do dworu, to mi tak na myśl przyszło owo zdarzenie, które panu opowiedziałem. Niech jeno konie pierw umieścimy opowiem wielmożnemu panu, co za figla wypłatał jeden z nich naszemu panu na środopust.

— Dobrze, to mi później powiecie, a teraz poszukajcie w głowie, czyby tu kto na wsi koni moich na noc nie przyjął:

— Tatulu! — ozwał się synal, — a u starego Michała?

— Bajesz, — odrzekł ojciec, — wiatr mu chlew wywrócił, w stodółce cały trzyma dobytek.

— A u Szelążka?

— U Szelążka to prędzéj; idźno Kasperku, idź i powiedz, że podróżny pan nie ma gdzie koni umieścić; niechby naładował w chlewie dla 4-ch koni, bo brykę możemy i pod naszę szopę zaciągnąć; nie ma ludzi do mliwa, to i próżna.

Pobiegł synalek do Szelążka; ja tymczasem rozebrałem się zupełnie, a wziąwszy na siebie tołubek o którym Pawełek nie zapomniał, w cichostępach, w magierce, z fajeczką w ustach, przechodząc się po izbie rozmyślałem, jak ja jutro, chociaż to już będzie i po imieninach, w jednym bucie dom obywatelski pana Dobruty nawiedzę; może też za dnia Kasperek, zachęcony złotówką, but mój z błota wyłowi, a może ekonom albo pisarz prowentowy parę butów odprzeda. Temi to drobiazgowemi myślami byłem zajęty, gdy Kasperek przybył z doniesieniem, że Szelążek z mia-

steczka nie wrócił a gospodyni bez niego rządzić się nie chce, że jeszcze wstępował do Rzepki, do Marchwiaka, do Siódemki, do sołtysa Sękalskiego i wszędzie, gdzie tylko miarkował, że mają lepsze chlewy, ale nikaj gospodarzy nie zastał, bo wszyscy pojechali do Opatowa i żaden nie powrócił jeszcze. A więc pozostało mi tylko szukać pomieszczenia moich koni w dworskiéj owczarni i w tym celu, nie spuszczając się już ani na Kasperka ani na Andrzeja, udałem się osobiście na dziedziniec dla wynalezienia ekonoma, ż którymby można dzisiaj, bez odwoływań się do starszego lub młodszego pana, potrzebie mojéj zaradzić. Przyszedłszy na gumna, spostrzegłem 20 wyprzężonych karet i powozów, drugie tyle bryk i bryczułek; stajnie, wozownie, stodoły i owczarnia na rożcież pootwierane; pełno ludzi w rozmaitych liberyach, roznoszących na wszystkie strony obroki, siano i koniczynę, które pijany jak bela karbowy szczodrą ręką wydawał. Gdym się spytał o ekonoma, pokazano mi gorzelnią, mówiąc: «tam teraz mieszka pan ekonom, bo się w officynie komin zawalił». Idąc do gorzelni, przechodziłem tuż okok dworu, był to dom drewniany, świeżo pobielony; ganek i cztery filary dzieliły całe pomieszkanie na dwie nierówne części; po prawéj stronie było pięć okien, po lewéj trzy, wszystkie wewnętrznem światłem rozwidnione, i z prawéj i z lewéj strony ulatywał głośny gwar wesołéj biesiady. Zbliżam się do wskazanéj mi gorzelni, gdzie spodziewałem

się zastać ekonoma przy regestrach, aliści i tu słyszę rozochocenie i zamaszystego na skrzypicy mazura a przez okno widzę, że tańczą; pomyśliłem więc, zapewne i panu ekonomowi imię Jan w Oleju. Proszę parobka z gorzelni, aby wywołał pana ekonoma, lecz zdraża się pijany hołysz.

— Masz oto dziesiątkę a poproś pana ekonoma, bo mam pilny interes.

— Czy waspon z Opatowa?

— Z Opatowa.

— To może od szynkaża Ignacego?

— Od szynkarza.

— A ha! to po okowitę... za rychłożeście przyjechali, jeszcze się ludzie kręcą. Słuchaj jeno wason, ale nie trzeba ekonomowi powiadać, ja także mam 12 garncy na sprzedaż.

— Po czemu?

— Spuszczę po 25 groszy.

— Za drogo.

— Co wason mówi, okowita 10éj próby a toćże pan gorzelny i pan ekonom po 25 groszy sprzedają.

— Oni mają mocniejszą.

— Gadałby wason zdrów; ja najpierwéj z kuły dla siebie utoczę a, co oni biorą, to już z wodą, któréj doleję podług tego, jak się okowity utoczyło.

— 12 garncy zamało.

— Ja waspanu mogę sprzedać co tydzień po 20 garncy i to *reguralnie*.

— A czy oni nie zmiarkują?

— E! to tam już moja w tém głowa; a chociażby i zmiarkowali, to oni wiedzą, że ja także świadom, co oni robią.

— A dziedzic?

Bartłomiéj się roześmiał i szyderczo odpowiedział:

— On ma gości, polowanie, do miasta pojedzie, doma w karty zagra, gdzież mu tam do gorzelni zaglądać; a potém czy on to jest przy wydawaniu kartofli, przy mierzeniu słodu? sam pan ekonom nie wie, ile my z panem gorzelnym bierzemy.

— Przecież przy końcu pokaże się ubytek?

— To tam już ekonomski w tém rozum; a chociaż i dziedzic dostrzeże ubytku, no i cóż? jeżeli odprawi ekonoma, to my z nowym ekonomem poznamy się znowu i kwita.

— Słuchajcież, jak wam na imię?

— Bartłomiéj.

— Otóż tedy, mój Bartłomieju, ja dzisiaj nie mogę kupić waszéj okowity, bo jestem za innym interesem, ale jutro wieczorem naumyślnie przyjadę.

— To trzeba dopiero z północka; mnie tu wason zastanie zawsze w sieni przy piecu, albo na drodze krzyknąć dwa razy jak puszczyk to ja już wyjdę do wasana.

— Zgoda, mój Bartłomieju, tylko mi teraz wywołajcie ekonoma.

— A! to może wason przyjechał po pszenicę? o! Jankiel przedwczorajszéj nocy resztę zabrał.

— Ja nie po pszenicę przyjechałem.

— No, no, już jestem doma, a wygnali je dzi-

siaj do Wielkich Pokrzyw. — Poskrobał się Bartoś w głowę i wszedł do ekonomskiéj izby.

Niebawem wybiegł mężczyzna w granatowym surducie, silnego wzrostu, włosy blond kędzierzawe nos ogórkowaty, oczy małe, usta rozwarte, czoło nizkie, twarz tłusta, gorącem potem oblana.

— Przyjechałem do pana Dobruty, ale że na grobli miałem przypadek...

— A to pewnie przy Żurawinie, zaraz za cegielnią.

— Nie wiem, czy przy Żurawinie czy za cegielnią, dosyć że po szyję w błocie ugrzązłem, więc za nim mi ubiór oczyszczą, przenocuję u młynarza a waćpana proszę, abyś rozkazał moje 4 koni i brykę przyjąć do dworskich zabudowań.

— Owszem, owszem, jaśnie panie; ale to dzisiaj imieniny naszego pana, możeby się nasz pan gniewał, gdyby jaśnie pan u młynarza nocował, gdybym nie dał znać; może jaśnie pan w przyjaźni z naszym panem a zabawiłby się jaśnie pan, bo mamy gości z całego sąsiedztwa.

— Właśnie dlatego, że macie gości, dzisiaj we dworze pokazać się nie mogę.

Długo jeszcze z podochoconym ekonomem rozprawiałem, zanim się przekonał, że wola moja nocowania u młynarza jest nieodmienna.

II.

Z pierwszym brzaskiem jutrzenki już mnie sen w chacie młynarza opuścił. Rzeczy, chociaż jeszcze

wilgotne ale oczyszczone, leżały przy mojém posłaniu; poczciwa młynarka całą noc na téj dla mnie usłudze spędziła. Ubierając się, mimowolnie obudziłem młynarza.

— Wielmożnemu panu pewnikiem twardo było leżéć?

— Nie, mój gospodarzu, siana było podostatkiem i dobrzeście usłali; ale ja zwyczajny jestem rannego wstawania.

— O! toćże jeszcze godziny brakuje do wschodu słońca.

— Ja chciałem poprosić waszego Kasperka, czyby mi zawczasu buta nie wynalazł w tém błocie, gdzie wczoraj popasałem.

— Na co Kasperka? ja wielmożnemu panu sam wyszukam, wszakżesz tam i tarcice od wczoraj zostały;

Tych słów dokończając, wstał poczciwy młynarz, przeżegnał się, zmówił pacierz, umył twarz i ręce, zarzucił na siebie niebieską katankę i wyszedł razem zemną przed chatę.

— Czy wielmożny pan słyszy? jeszcze żydki przygrywają we dworze.

— Dobrze się bawią, więc im nocy nie starczyło.

— Proszę wielmożnego pana, u naszego państwa to potarzyny trwają czasem i dwa dni, nie przymierzając jak na chłopskiém weselu; ale to wielki wydatek! Tutejszy kucharz i do pomocy jeden jeszcze ze sąsiedztwa od poniedziałku goto-

wali rozmaite mięsiwo, ciasta piekli, robili różne figle ze śmietany i z cukru, a wczoraj to już dla jakiegoś pańskiego wymysłu aże lód kręcili w takich cynowych słoikach; ja to tam wszystko widziałem, odnosząc ryby do kuchni; a co się kupnego od pachciarza masła zmarnowało! człek nie mógł i patrzeć, jak je rzucali na ogień, żeby się niby mokre drzewo lepiej paliło.

— Czyż nie mają z roku na rok suchych sągów?

— Kaj tam; dzisiaj rąbią, dzisiaj wożą i dzisiaj palą.

— Powiedzcie mi, czy wczoraj były także imieniny ekonoma, bo i u niego tańczyli?

— Jemu na imię Jędrzej; ale u niego taki zwyczaj, że jak we dworze goście, to i u niego goście; jak do dworu panowie się zjadą, to i do niego zjadą się ekonomowie z żonami, pisarze prowentowi, gorzelnicy i leśniczowie; o nie chybi, że i oni jeszcze dzisiaj tańcują; niechno się wielmożny pan chociaż w trzewiczkach przejdzie przez ogród ku gorzelni, to ich tam wielmożny pan posłyszy; ja tymczasem pójdę poszukać pańskiego obuwia, sprobuję hakiem, to się i ułowi.

Promienie złotego słońca od sześciu godzin pieściły się na majowym ziemi kobiercu; lud wiejski pracował po ogrodach i polach, zawieszone w powietrzu skowronki hymn życia dzwoniły, dzień wiosny płynął z niewysłownym urokiem, a jeszcze były zamknięte okienice dworca, przed którym na ławce pod wystawą oddawna siedziałem. Znu-

dzony chrapaniem, które z obu stron uszu moich dochodziło, już miałem powtórnie udać się w pole dla obejrzenia istotnie nędznych urodzajów, gdy na raz w pokojach na lewo usłyszałem głos ochrypły i przytłumiony:

— Michałek! przynieśno wody do picia i na głowę; daj fiszbin i szczoteczkę, uchyl jednéj okienicy, a pani nie budzić.

— Jasieńku, ja już nie śpię,

— Cóż, kochanie, tak rychło się obudziłaś?

— Potrzeba myśleć o śniadaniu, bo dziesięć jeszcze osób zostało, a może już i oni powstawali.

— Czy tylko wina będzie na dzisiaj?

— Nad ranem przywiózł Walenty ośm garncy; spytam się Sapczyńskiéj, ile zostało.

— Ostatni to raz, że od Abrama kupuję; ja myślałem, że się ze wstydu pod ziemię schowam; a to proszę cię, aniołku! kwaśna łodyga aż mnie samemu zęby podrętwiały. Uważałem nawet, że i sędzia, który, jak go znam od lat 30, nigdy nie dał się naglić, dzisiaj rano i on już kieliszki na stronę odstawiał.

— Jeszcze kiedy za gotowe pieniądze to jakie takie.

— Kundel żyd, miewa on dobre, da i na kredyt dobrego, ale zapewne rozumiał, żeśmy nad ranem smak pogubili; muszę ja mu jutro verba veritatis powiedzieć.

— Proszę wielmożnego pana (ozwał się ktoś trzeci, zapewne Michałek), od samego rana czeka

jakiś podróżny pan, nocował u młynarza, a dzisiaj zaglądał po wszystkich budynkach; chodził w pole, był w gorzelni, rozpytywał się, ile owiec, ile bydła na drugim folwarku.

— Ot! patrzaj niegodziwca! to zapewne Strojeski przysłał komornika; a tak go się prosiłem, tak zaklinałem na honor, na uczciwość!... Już to miejska słodzina nigdy dla szlachcica szczerą nie będzie. Kochanie! czy też tylko srebra pochowane?

— Nie wiem, czy Ignacy oddał Sapczyńskiéj.

— Przyjechał dzisiaj, jakby się uwziął, a ja właśnie miałem pomówić z zięciem pana sędziego, żeby mi na opłatę zaległéj raty grudniowéj czterech tysięcy pożyczył. Żmija! gotów tutaj w jego obecności zrobić zajęcie; zgubi mnie z kretesem.

— A to tylko, duszko, pospiesz się z ubraniem; może się da ułagodzić, zanim się goście obudzą. Michałku, czy śpią jeszcze na drugiéj stronie?

O! śpią jeszcze wszyscy; ale co ten pan komornik, to siedzi na ławce przededworem, i niech wielmożni państwo będą łaskawi ciszéj mówić, bo on może słyszeć.

Po téj rozmowie, na lewéj stronie dworca zupełnie ucichło; natomiast na prawéj zaczęli goście kaszleć i spluwać i już zasłyszałem, jak jeden począł pana Dobrutę przeklinać za kwaśne wino, drugi za niedogotowane ryby, trzeci za zbyt pańską[1])

[1]) Kiedy w lecie ubita zwierzyna po kilku dniach przechodzi w zgniliznę, mówią, że to jest pańska zwierzyna;

zwierzynę, kiedy w tém z lewéj strony wyszedł mężczyzna otyły, wysoki, z małym kosmykiem siwych włosów na łyséj głowie, garbonos, z zaczerwienionemi oczyma, w zielonéj kamlotowéj kapotce, w nankinowych pantalionach, — a patrząc na mnie wzrokiem bazyliszka, wyrzekł z widocznie przytłumionym gniewem:

— Pan pilny zapewne masz interes, kiedy na straży przed mojemi drzwiami usiadłeś.

— Gdyby była karczma, lub jaka ławeczka w ogrodzie, byłbym zaprawdę nie zajął miejsca w przedsionku.

— I w czyimże interesie?

— W moim własnym.

(Nieco grzeczniej). — To pan zapewne jesteś nabywcą sumy Strojeskiego.

— Nie znam żadnego Strojewskiego.

(Zupełnie grzecznie). — Daruj pan dobrodziéj, jak widzę, mylnie mnie uprzedzono; zdaje mi się, że miałem przyjemność wchodzić z panem w układy o założenie papierni, i zapewne przyjechał obejrzéć miejscowość?

— Przyjechałem przekonać się o generalnym nieurodzaju tak w oziminie, jako i w jarem zbożu, o upadku owiec i o tych wszystkich klęskach go-

---

i istotnie wielcy panowie albo naśladujący wielkich panów popełniają pomiędzy innemi i to głupstwo, że nad świeżą przenoszą cuchnącą zwierzynę.

spodarskich, o których mi pan dobrodziéj listem swoim z dnia 1 maja doniosłeś, żądając cierpliwości na rok czternasty.

(Z najwyższą grzecznością). — A! szanowny i zacny dobrodzieju!... czy być może???!!! Więc to oglądam pana Augustyna! najmłodszego z synów pana Franciszka! z którym od dzieciństwa żyłem w najszczerszéj przyjaźni! (obejmując mnie rękoma). Witam! witam! po stokroć witam i przepraszam cię, kochany panie Augustynie! A gdzież ja téż, przez miłosierdzie Boskie! oczy podziałem! wykapany ojciec! jakbym patrzał na nieboszczyka, kiedyśmy razem do środy jeździli. Mój Boże! ileżto lat temu?

Temi wyrazy zostałem rozrzewniony, albowiem kilka dni przed swoją śmiercią opowiadał mi mój drogi i ukochany ojciec, że z Janem Dobrutą w Poznaniu do szkół jezuickich a następnie do Palestry chodził, i że na sejmiku w Środzie wspólny mieli przypadek, gdy się na nich w kościele (Bogu dzięki bez wielkiego uszkodzenia) szafa ze świecami bractwa różańcowego wywróciła, tłumiąc przez to dwa głosy niepozwalające. Późniéj razem i wojskowo służyli i dobrze się bili.

— Proszę, proszę do naszego sypialnego pokoju. Dla takiego gościa, jak ty jesteś, Augustynku, to każdy zakątek naszego domu jest otwarty. A bodajże ci téż Bóg tego nie pamiętał, że wczoraj nie przyjechałeś.

Wchodząc do pokoju, spostrzegłem białą spo-

dnicę, przyskrzynioną we drzwiach przeciwległych, którą na tamtę stronę wciągnąć usiłowano.

— Duszko! nie uciekaj, chodź jak jesteś; to syn naszego przyjaciela, który ciebie od ślubu prowadził. Jadwiniu! to pan Augustyn, syn pana Franciszka.

— Zaraz! zaraz, mój mężu, tylko włożę szlafroczek.

Jakoż pokrótce ukazała się pani Dobrucina niewiasta licząca około lat 60, nizka, szczupła, brunetka, z miłym na ustach wyrazem. Również jak jéj mąż znalazła, żem do ś. p. ojca mojego, jak dwie krople wody podobien. Podczas gdym z panią Dobruciną pierwsze zamieniał wyrazy szanowny gospodarz domu, założywszy na nos okulary, pisał na biurku bilecik do Abrahama; a że litery były całowe i przypadkowo pod moje oczy podpadły, mimowolnie więc przeczytałem następujące wyrazy:

«Sześć, nr. 6 garncy a fl. 30, ale zaklinam cię Abramku, pod chairem, aby było to samo, które brałem u ciebie podczas superrewizyi. Za cztery tygodnie będzie strzyż wełny, to się zupełnie obliczymy. Proszę cię także, abyś był łaskaw przysłać dwie butelki dobrego araku, cytryn sztuk dwanaście i cukru głowę jednę. Do Szmula, twojego szwagra, piszę osobną karteczkę o flaki i wołowinę; upomnij go, aby tłuszczu nie obdzierał.

Jan Dobruta mp.

Chłodna Wólka dnia 7 maja 1840 r.

P. S. Jeżeli Szmul zabił cielę, niechaj całe przysyła, nb. tłuste, i żeby miało najmniéj trzy tygodnie, a i séra holenderskiego przyślej mi bochenek, tylko żeby nie był czerstwy.

J. D.

P. S. Jeżeli chcecie wziąć okowitę po 40 groszy, to przyjedźcie z Kalmusem jutro rano, ale rano! Malaga daje mi po groszy trzydzieści dziewięć.

III.

Rzecz przy drugiem [1]) śniadaniu.

Osoby.

Jan w Oleju Dobruta, dziedzic Chłodnéj Wólki z przyległościami.

Pani Jadwiga, jego żona.

---

[1]) W pół godziny po kawie z grzaneczkami dano wódeczki i porteru, surowéj szynki, śledzia, auszpik z octem i oliwą, kawior, indyka na zimno, kminkiem posypanych śliwek na słomianym rożenku, wiśni w konfiturze i kilka butelek wina francuskiego, z którego tylko Badurski i Serpetyński po trzy szklaneczki wypili. W dwie godzin późniéj z obawy, aby goście mdłości głodowych nie uczuli, zaproszono do tak nazwanego drugiego śniadania, które się rozpoczęło barszczem z uszkami. Byłto rzeczywiście obiad bez szykan; obiad zaś z szykanami kucharz dopiéro na godzinę 6 obiecał.

Kto z gości w domu polskiego szlachcica skarży się

Sabinka, trzydziestoletnia panna,
Kalikst, rokiem od Sabinki młodszy,
} Dzieci Jana Dobruty z pierwszéj żony (austryackiéj hrabianki Łopatkowskiéj).

Soter Malicki, lat 25 liczący, syn pani Dobruciny z pierwszego męża.

Elżbietka, Rafał, Joachim, małoletnie dzieci Jana i Jadwigi Dobrutów.

Zygmunt i Kazimierz, synowie po Józefie Dobrucie, rodzonym bracie Jana w Oleju, współwłaściciele Chłodnéj Wólki. (Wszyscy w Chłodnéj Wólce mieszkający).

Sędzia Badurski, dziedzic Łysobyków.

Gomułkowski, zięć sędziego, dziedzic Mroczkowa, radca dyrekcyi szczegółowéj.

Pakułowicz, dziedzic Zagrzebia.

Reputalski, dziedzic z Brzmiącéj Górki.

Finezy, naddzierżawca dóbr rządowych.

Serpetyński, były porucznik, dzisiaj dzierżawca dóbr szlacheckich.

Biedrzynko, gubernialny urzędnik do szczególnych poruczeń.

Prętkowski, geometra.

---

na skąpy żołądka posiłek, jest albo bezczelnym kłamcą albo nigdy nienasyconym żarłokiem i bezdenną kufą z wiekuistem pragnieniem. Wielu z braci szlachty odmówi niekiedy składki na cel dobra ogółu, ale gościa swojego każdy i zawsze, częstokroć nad miarę rozsądnéj możności, napasie i napoi po uszy.

Au. Wi. dziedzic (podówczas) Mydłowa.

Dwóch lokai w liberyi roznosili półmiski z potrawami i odmieniali talerze. Michałek w szarym spancerku podawał na skinienie butelki wina, w chłodnym kominku rzędami poustawiane. Sapczyńska, klucznica domu, pokazała się dwa razy, przynosząc na uboczny stoliczek w połowie zrujnowaną piramidę ciast i cztery talerze wczoraj napoczętej galarety.

Sędzia Badurski do pani Dobruciny. Jużto państwu dobrodziejstwu można pozazdrościć kucharza.

Pani Dobrucina. Kiedy trzeźwy, to wcale nieźle gotuje.

Badurski. Pani dobrodziejko! wczoraj wystąpił, co się nazywa! a z takim barszczykiem jak dzisiaj, przyznam się, że od kilku lat nigdzie się nie spotkałem.

Pakułowicz. Ja zawsze powtarzam, że na wsi dobry kucharz to grunt.

Reputalski do Dobruty. Państwo czy z Opatowa miewacie wołowinę?...

Dobruta. Czasem i nasz żydek zabije wołu.

Biedrzynko. Teraz wyszedł reskrypt gubernialny, ponawiający surowy zakaz pokątnej rzezi.

Finezy. Bardzo słusznie, bo rzeźnicy, opłacający konsens w miasteczkach, konkurencyi z wiejskiemi żydkami wytrzymać nie mogą.

Badurski. I ztąd też mięso ladajakie.

Prętkowski. W ogólności należy pomyślić o żydach.

Dobruta. W ręce pana sędziego *(obracając się do mnie).* Łaskawa bytność w domu naszym pana dobrodzieja! Oby przyjaźń, która mnie przez lat 40 z ojcem nierozerwanemi łączyła węzłami, szczery odgłos w sercu syna znalazła!

Te ostatnie wyrazy wymawiał Dobruta z rozczuleniem i wypił duszkiem trzypiętrowy kielich węgrzyna. Z uczuciem wdzięczności uścisnąłem rękę Jana w Oleju i w tęż chwilę pojąłem, dla czego ś. p. ojciec mój przez lat trzynaście powolnym był na żądanie cierpliwości.

Podczas kolei wniesionego zdrowia chwile zbywające mi od dziękczynnych obywatelstwu ukłonów, poświęciłem pannie Sabinie, ale wśród rozmowy z uprzejmą sąsiadką słyszałem wiele krzyżujących się na wszystkie strony zdań, twierdzeń i dowodzeń. Umieszczę je w takiém następstwie, jak moich uszu dochodziły; nie jestto całość, ale niektóre odłamki są ciekawe.

— Potrzeba deszczu, bo cały siew djabli wezmą.

— Ja także w sobotę strzelałem bekasy.

— Powiadam panu dobrodziejowi, że nasz regent w czepku się rodził.

— Wiem, wiem, ale głowa też to, głowa do wszystkiego.

— Panie Reputalski! bardzo proszę. Soterku, doléj pełno.

— Wszystkie nasze uczucia winny mieć ten jeden główny kierunek.

— Co za dziewczyna! jéj jedno spojrzenie może najstarszemu człowiekowi zmysły pomięszać, a jak edukowana! bo to i tańczy i gra na fortepianie i język francuski posiada *expedite*.

— Nietylko, że się nie odegrał, ale się zadłużył; Rafałowi winien 400 złp., bił zawsze swoje pieniądze, a przy wystawce nie miał ani za grosz szczęścia; ja rozumiem, że przegrał do 3000 gotówką; to już drugi rok, że się tak łatwo pieniędzy za wełnę pozbywa.

— Ale bo i pocóż Maladze przed strzyżą sprzedaje?

— Pani dobrodziejko, u mnie wszystko w swoim czasie być musi, i sałata i szparagi i rzodkiewka, bo moja żona nowalijki pasyami lubi.

— Kto? co? ona??? ani grosza nie ma posagu; jéj rodzice durzą go tylko, a on zapożycza się u wszystkich żydów; zobaczycie jaki to koniec będzie.

— Ha! żeni się z familijantką.

— Nie idzie zatém, żeby się przed ślubem zrujnował, dosyć czasu po ślubie.

— Na honor powiadam panu, że prawda, na własne oczy widziałem; jeszcze go regent upominał, aby tak głupiéj transakcyi nie robił.

— Więc od świętego Jana żyd wchodzi w posesyą?

— W ręce pana dobrodzieja: «żeby nam się lepléj działo!»

— Co oni zawsze tą gliną wojują, nie prawda!

nie z jednéj gliny, — jest glina na cegły, na garnki i na porcelanę, otóż ja z gliny porcelanowéj.

— Ale, panie Pakułowicz! z cegły wznoszą Bogu świątynie, w garnkach jeść gotują, a porcenalowych naczyń używają częstokroć do posług najpodrzędniejszych.

— Jak pozna, żeś jeźdźcem kapryśnym i nielitościwym, zrzuci cię i już mu potém nie dasz rady; tak samo znarowiłeś kasztankę.

— Nie wiem, czém się to dzieje, że okowita nie idzie w górę.

— Ja kazałem i więcéj brać anyżu i staram się, aby próbę trzymała; cóż kiedy nie ma hurtownego kupca, i gdyby nie własne karczmy... Panie Reputalski dobrodzieju, czy ta trzecia karczma na Krzyżówce do Brzmiącéj Góry należy?...

— On wszystkie konie pochwaci, a szkoda, bo to piękny zawód.

— Do ślubu kupił Meklemburczyki.

— Widziałem, jak przyszły; ciężkie, stare, pożałuje on niedługo swoich siwków; jego brat znów zapalił się do wiackich, które Oleś kupił od półkownika.

— Pan Zygmunt ogłaszał zawsze dziwne wyobrażenia.

— Żal mi, że się panu dziwnemi wydają; niemniéj przeto oczynszowanie włościan stanie się ogólném szczęściem kraju, ulżeniem naszemu sumieniu, a nawet korzyścią samychże właścicieli dóbr ziemskich.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem; w czém ja to ulżę mojemu sumieniu i jaką ja to znajdę dla siebie korzyść, gdy chłopom daruję moje własne grunta?

— Swoich własnych gruntów nie darujesz im panie, tylko oddasz i to jeszcze za czynsz cząstkę téj ziemi, na któréj oni od tylu wieków byli przeciążeni pańszczyzną darmochami i rozliczną posługą nad umowę, wbrew wszelkiéj sprawiedliwości; cząstkę ziemi, którą oddawna kupili u nas krwią swoją, niosąc tak często życie w obronie nie swoich ale naszych szlacheckich swobód i przywilejów. Czyliż i posługi wojenne do pańszczyzny zaliczyć mamy?...

— Pańszczyzna, którą, panie Zygmuncie, uważasz za takie straszydło, którą tyle razy przytaczasz, jest to dobrowolna umowa.

— Jest to ucisk bogactwa nad niemożnością.

— Wszyscy bogatymi być niemożemy.

— Ale nikt nie powinien żądać za bezcenną nagrodę ciężkiej na swoje wygody i zbytki pracy.

— Nie rozumiem, co przyjdzie dobrego dla kraju, gdy chłopom grunta rozdacie.

— Gdyby nic więcéj, jak zwiększenie liczby obywateli, już to samo będzie szczęściem kraju; — wszakże nadto rozszerzy się przemysł rolniczy, — wzniosą się szkółki wiejskie, — uczucie godności pracowitego człowieka zaszczepi się i rozkrzewi, — cały kraj inną przybierze postać.

— Tak, ale w moich dochodach pokaże się *minus*.

— Pokaże się *plus*, bo przez sprawiedliwe obwarowanie stosunków pomiędzy właścicielami a włościanami wartość dóbr podniesioną zostanie; role folwarczne, które przy niechętnéj robociźnie pańszczyźnianych włościan wydają dzisiaj cztery ziarna, wydadzą przez staranniejszą pracę ziarn dziesięć, a dochodu, jaki właściciele dóbr osiągną, nie będą potrzebowali rozpraszać na nieustanne zapomogi chłopów.

— Więc pan chcesz chłopów zostawić bez opieki?...

— Patryarchalna opieka, jakiéj dotychczas włościanie pańszczyźniani doznawali, czyniła ich niewiele wyższymi od zwierząt, — usamowolnienie postawi ich w rzędzie ludzi.

— Ale któż mi będzie w roli pracował, jak ja nie będę miał pańszczyzny?

— Każdy kto pragnie zarobku.

— Nasz chłop nie pójdzie na najem.

— Pójdzie, skoro mu nie kwitami do karczmy ale gotówką zapłacisz, skoro z pracy znajdzie przyzwoity zysk; — nasz chłop nie jest leniwym, a własną korzyść każdy pojmie z łatwością.

— Nie daj Boże doczekać, bobyśmy w jednym roku wszyscy z torbami poszli; niech jeno chłop zostanie oczynszowanym, z saméj dumy nie pójdzie do dworu na najem.

— Próżna obawa; oczynszowanie włościan odbywa się przez lat kilkanaście, będzie czas do przygotowania się na zmianę gospodarstwa, chłopek

otrzaska się z dumy mniemanéj; — pojmie on rychło, że przez zysk z najmu do najbliższego miejsca, jakiém będzie dwór, zwiększy mienie dla swoich dziatek, zbierze pieniądze na czynsz, na podatki, na zasób w razie nieurodzajów; nasz kmiotek ma pojęcie zdrowe; — prócz tego pastwisko i drzewo w lasach dziedzica będą zawsze czyniły i oczynszowanego zależnym od dworu.

— W téj mierze masz jegomość *racyą;* boć ja i cenę wódki mogę mu podwyższać.

— To kupi okowity w sąsiedztwie.

— Jakto? *mój* chłop ma kupować trunki, gdzie mu się spodoba?

— On nie będzie pańskim chłopem.

— Ale przecież on zawsze będzie mieszkańcem na *mojéj* ziemi.

— Nie, mylisz się, panie; na własnéj, na hipotecznie własnéj.

— Jakto? więc oni i hipotekę swoich zagonów regulować mają?...

— Tak jest, inaczéj nie byłaby to rzeczywista własność, cel byłby chybionym.

— Panowie! panowie! panowie! na co to gadać o tém, co być nie może, nie powinno i nie będzie.

— Panie Wi..., w ręce pana dobrodzieja! «JW. Dobruciny zdrowie!»

Odbierając z rąk sędziego potężny kielich, chciałem go zamienić na mniejszy, ale pan Dobruta wyrzekł znacząco: «nie wolno mi przymu-

szać do zdrowia méj żony, ale przykro mi, że nie zasługujemy...» Naturalnie na taki zarzut nie było innego ratunku, tylko że tym samym kielichem, co sędzia Badurski spełniłem zdrowie pani Dobruciny. Ledwo żem nieco odetchnął, słyszę, że pan Biedrzynko pije w ręce pana Reputalskiego zdrowie panny Sabiny; niezadługo Gomułkowski toż samo zdrowie wypił do mnie; niepodobna było ubliżać grzecznéj sąsiadce, a więc wypiłem w ręce Serpetyńskiego. Serpetyński pił, jeżeli się nie mylę, w ręce Sotera; aliści wtém zarumieniony Dobruta wnosi zdrowie Wielkopalan, a więc dziękuję zdrowiem Sandomierzan. — Wtém podają mi kielich ze zdrowiem solenizanta w oktawie!... potém słyszałem jeszcze, ale już niewyraźnie «kochajmy się!» potém mi się w oczach ściemniło i tylko czułem, że mnie ktoś kłuł twardą brodą po ustach i serdecznie ściskał.

IV.

Zamknięty w ciasnéj kajucie, z gwałtownością morskiéj ulegając chorobie, słyszałem uderzenie każdego bałwana i dotkliwie czułem, jak burzą rozkołysany ocean bezprzestannie miotał okrętem, jak go silnemi podrzucał barkami, jak bił taranem potężnych wałów; słyszałem jak świstem wichru naprzemian jęczał, szumiał, wrzał, wył i warczał; sądziłem, że olbrzymie ciało ostatnią siłą Tytanów idzie z piekłem w zapasy na śmierć i życie; że wszyst-

kie żywioły razem walczą, bo i ogień i woda ciskały się po oknach kajuty, a na wstęgach czerwonego płomienia pioruny, z przeraźliwym łoskotem prując stłoczone powietrze, ostatniego zniszczenia okropną roznosiły groźbę. Na raz zdawało mi się, że jestem przeniesiony na pokład nieszczęśliwego okrętu, i jakże bolesny widok ścisnął serce i duszę!?... Czarne chmury roztoczyły w około żałobę, tylko na zachodzie ostatnie promienie krwawego słońca, tworząc zwodniczy blask mniemanéj jutrzenki, grobowe rzucały światło na zdruzgotane maszty, porwane liny, skręcone reje i zniszczone żagle, przy którychto szczątkach jakaś szalona tłuszcza do jęków bezrozumnéj rozpaczy mięszała głos wesołéj biesiady. Majtkowie bez sternika, jedni drugim u zerwanego z zawias rudla nieumiejętne wydawali rozkazy; oficerowie bez względu, że jeszcze kotwica silnemi szpony głęboko w twarde dno morza zaryta, na czółnach z odłamków okrętu, zbitych kośćmi poginionych braci, unosili podłością, występkiem i zbrodnią zdobyte bogactwa;— gdy wtém blady płomyk przy kompasie ręką Przedwiecznego zmienił się w jasność zbawienia i przed tą jasnością nagle umilkła burza... Odwaga, stałość i wierność majtków uszanowanemi zostały, tułaczy okręt na bielącéj się przestrzeni spienionego morza, jakby na szacie niewinności, wolno się kołysał, a promienie chwały otaczały go dokoła, a były tak bardzo jasne, że moje powieki mimowoli rozwarły się szeroko... Sen-lito?...

czy jaw?... Na piaszczystym dziedzińcu stał murowany dworzec, pierwszy raz w mém życiu widziany; przed dworcem siedziały trzy białogłowy; u ich nóżąt spoczywał wyżełek; po oknach mojéj kajuty spływały ostatnie krople burzy, która się kryła za wierzchołki poblizkiego lasu; znajdowałem się w wyprzężonéj karecie, głowa moja ciężała jak ołów.

Spuszczając okno karety, wychylam głowę i zabieram się do uczynienia kilku zapytań, gdy w tęż chwilę dwie młodsze białogłowy wyraźnie się uśmiechnęły, przebudzony zaś piesek wprost na mnie przeraźliwie szczekać począł. Chłodny wietrzyk owiał moją łysinę, szybko domyślam się przyczyny śmiechu dziewic i gniewu wyżełka, cofam się do karety, podnoszę leżącą obok mnie perukę, zasadzam ją za uszy i powtórnie się oknem wychylam; — aliści rzeczone dziewice w głos się rozśmiały i uciekły, wyżełek uskoczył w tył i z pod ławy, jakoby przelękniony, jeszcze głośniéj ujadać począł, a pozostała wiekiem starsza pani zdawała się mówić oczyma: «jakże ty wyglądasz?!...» A więc powtórnie z lekkiém uderzeniem w wierzchołek tylnéj części czerepu wsunąłem się znów do karety; macam się po głowie, przekręconéj na wspak peruce należny daję kierunek i już całe otwierając drzwiczki, rozpoczynam następującą rozmowę:

— Proszę pani, racz mi łaskawie powiedzieć, gdzie ja się znajduję?... i daleko ztąd do morza?...

kiedy ja przybyłem na ląd stały?... kto pani jesteś?... co ja tu porabiam?... co znaczy ta kareta?... czyja to kareta?...

— Kareta jest sędziego Badurskiego; pan nią przyjechałeś bez woźnicy, konie biegły przez pola i łąki, przez zagony i rowy; nasi ludzie zatrzymali je pod lasem i sprowadzili przededwór; pan wysiąść nie chciałeś, broniąc mężnie mniemanego okrętu, kazałam więc wyprządz konie a pana zostawić spokojnie, dopóki sam nie przekonasz się, że okrętowi żadne już nie zagraża niebezpieczeństwo. Stangret pana Badurskiego, który pana wtém dopiero miejscu dogonił, opowiadał, że w Chłodnéj Wólce, stojąc na dziedzińcu z zaprzężonémi końmi, gdy przed nadchodzącą straszliwą burzą pod wystawę stajen schronił się, pan wybiegłeś ze dworu, wsiadłeś do karety, i *hau!* krzyknąłeś, a gdy on nie zdążył lejc pochwycić, konie zniecierpliwione dwugodzinném czekaniem, szybko z miejsca ruszyły i byłyby pana z karetą prostym gościńcem do Łysobyków zaniosły, ale zestraszone piorunami uderzyły na bok i jak to już panu powiedziałam, przez zagony i przez rowy bliższéj szukały drogi. Oto jest wszyko, co wiem o pańskiéj podróży; nie pozostaje mi jak tylko dodać, że jestem żoną właściciela téj wioski, i że pana proszę na gotową już, czystą herbatę, która po morskiéj burzy będzie dla pana najlepszém lekarstwem.

— Nieskończone dzięki! — te słowa wymawiając, wysiadłem z karety; — ale przyznaj pani,

że tak niekorzystnie zaimprowizowany gość z łaski pani korzystać nie może; raczéj dozwól pani, że skrócę chwile mojego zawstydzenia i co rychléj ztąd odjadę.

— Winę pana Dobruty, którego zbytnia gościnność wszystkim jest znana, niesłusznie pan za swoję uważasz i niesprawiedliwie chcesz nas pozbawić przyjemności bliższego poznania, na co ja pozwolić nie mogę, bo mąż mój, którego powrotu z drugiego folwarku co chwila się spodziewam... otóż i on!... jego prośby będą zapewne skuteczniejsze.

Na te wyrazy oglądam się, widzę, że bryczulką, w dwa srokate konie zaprzężoną, wjeżdża na dziedziniec jakiś szlachcic z przymrużonemi pod słońce oczyma, nad któremi przytrzymywał rękę, tworząc z pięciu swoich palcy zastępstwo umbrelki. Stanęła bryczka, szlachcic wyskoczył na ziemię, patrzy się zbliska na mnie, patrzę się na niego, poznajemy się; — on ucieszył się widocznie, mnie jakby kto wrzącą oblał wodą, albowiem był to Maciéj Węchocki, mój wierzyciel, któremu ja od lat trzech z przekazu jego szwagra, pana Pazurkiewicza z Warszawy, skutkiem pięciu porachunków i ośmiu prolongacyi na drożdżach lichwiarstwa urosłą sumę złp. 8,000 dłużnym byłem.

— A! istotnie gość i prawdziwy gość a mówiąc nawiasem, w dzisiejszych krytycznych czasach zwłaszcza bardzo szanowny.

— Dawno to już było mojém życzeniem... powinnością... i obowiązkiem.

— Więc panowie się znacie?... — zapytała pani Węchocka.

— Jakto, nie wiesz, duszko, kogo miałaś przyjemność powitania w domu naszym?...

Nastąpiły objaśnienia, weszliśmy do pokoju; pan Węchocki uśmiał się serdecznie, gdy mu żona opowiedziała wszystkie szczegóły mojego przybycia; dano herbatę, dwie panny Arbuzińskie, Teresia i Emilka, siostry samejże pani Węchockiéj, (wcale gładkie dziewczęta) uprzyjemniły dalszą rozmowę i jakoś mój pierwszy strach przed wierzycielem szczęśliwie przeminął.

Na usilne żądanie państwa Węchockich karetę i konie pana Sędziego Badurskiego odesłałem do Chłodnéj Wólki i w Miodówce zanocować przyrzekłem. Jakoż po lekkiéj wieczerzy pan Węchocki odprowadził mnie do oficyny, gdzie dla mnie wygodne przygotowano posłanie.

Skutkiem ciągłego bólu głowy ani chwilę zasnąć nie mogłem, i już było z północy, gdy przez ścianę usłyszałem z początku ciche szepty późniéj śmiech dziki, wyrazy najgwałtowniejszego gniewu, następnie płacz i zębów zgrzytanie i znów śmiech, klask i głośne rozkazy:

— Mości książe winieneś mi posłuszeństwo; jesteś moim wazalem, krew twojéj rodziny i wasz majątek do mnie należą; — tymczasem oddaj mi groszy dwieście, oddaj! albo to żelazo w łonie twojém utopię...

W żaden sposób pojąć nie mogłem, co ta mowa znaczy, i potrzeba było długiego czasu abym się przekonał, że nie śpię, i że nie jestem pijany.

Parol z dwudziestu tysięcy pod *damę,* dwieście groszy *mazzo*...

Za temi wyrazami nastąpiło najboleśniejsze westchnienie i jednocześnie przeraźliwy zawrzask: «moja żona! moje dzieci!»

Gwałtowne uczucie litości wstrząsło sercem mojém.

Wyskoczyłem z łóżka, jak to mówią, *na równe nogi,* zapaliłem świecę i pobiegłem do tego pokoju, z którego głos tak okropny uszu moich doleciał.

Na zbutwiałéj słomie siedział w podartéj koszuli, wiekiem zgrzybiały mężczyzna; — jedną ręką przyciskał mosiężny krzyżyk do obnażonéj piersi, drugą sięgał po szarą sukmanę, która mu za nocne i za dzienne służyła okrycie.

— Toś ty, łotrze Węchocki!... spostrzegając mnie wchodzącego, krzyknął nieszczęśliwy starzec, zerwał się z posłania i wzrokiem wściekłości nieme rzucając przekleństwo, zanim się bronić zdołałem, pięścią uderzył w piersi, — «oto masz dla lichwiarza nagrodę!»

Gdyby nie rzetelność mojego ojca, że mam piersi zbudowane na urząd, z pewnością byłbym téj ramotki nie pisał, bo o jednę linią delikatniejsza kosteczka piersiowa byłaby, nie wątpię, pękła na dwoje pod takim silnym razem. — Ha! pomyślałem niebawem, — nie można czekać na drugie poczę-

stne, a więc szybko pochwyciwszy rękę starca, przekręciłem je na krzyż i uczyniwszy go w ten sposób moim więźniem, badać począłem:

— Któż tobie powiedział, że ja Węchocki?... kto ciebie obkłamał, że ja pieniądze rozpożyczam na lichwę?... Warjacie! jak żyw jestem, takiego grzechu nie popełniłem jeszcze.

— Ty! ty nie pożyczyłeś mi pieniędzy?!... A wtenczas, kiedym perską księżniczkę kupił do mego seraju; — a wtenczas, gdym poselstwo na Wołoszczyznę wyprawiał, aby handel pomarańczami urządzić?... Albo kiedy w Aleksandryi na wyścigach konnych ów ogromny zakład do brazylijskiego cesarza przegrałem, — czyż to nie ty, szatanie! wpisałeś się przed warszawskim regentem na hipotekę ostatniéj ojcowizny mojéj, ojcowizny, w któréj dziecinne lata spędziłem... w któréj ostatni raz moję matkę widziałem...

— Więc ty pamiętasz swoją matkę?...

— Czy Henryk matkę pamięta?!... matkę! anioła stróża mojéj młodości...

Łzy obfite stoczyły się po twarzy, dziki wzrok zmienił się w spojrzenie boleści, głos starca zadrżał, a całą jego postać nagła opanowała bezsilność. Uwolniłem ręce nieszczęśliwego i powiódłszy do posłania, zwolna złożyłem na słomie.

— Starcze! ty się omyliłeś; — ja nie jestem twoim wrogiem, ja w imieniu twojéj matki pomoc dla ciebie przynoszę...

— W imieniu matki?... tak jest, ja miałem matkę! bardzo dobrą matkę! Ale jam tę dobrą matkę i żonę i dzieci w najokropniejszéj nędzy pogrążył, jam najdroższe na ziemi istoty wtrącił do grobu... lichwiarzowi sprzedałem ich życie, lichwiarzowi oddałem mój honor... tak, tak, ty wydarłeś mi wszystko, pozostawiłeś rozpacz i przekleństwo, ktore ci z lichwą oddaję... Niech każda godzina twojego życia zmieni się na całą wieczność najsroższych męczarni, niechaj twojém imieniem...

— Henryku! powtarzam ci, że jesteś w błędzie; jam tobie nigdy nic złego nie uczynił, ja przychodzę w imieniu twojéj matki; — raczéj powiedz, w czém ci mogę być użytecznym, czego chcesz, co ci ulgę przynieść może?...

— Wielki Boże! więc ty nie jesteś Węchocki?... Tak, tak,— ten łotr nigdy mnie mojém imieniem nazywać nie ośmielił się; on mi zawsze mówił «jaśnie wielmożny panie!» dopókim mu reszty majątku nie oddał; — wówczas dopiero mnie nazywał nierzetelnym dłużnikiem i przed sądy zapozwał... a potém przyszli słudzy sprawiedliwości i wszystko... wszystko zabrali, — a Marya, moja Marya! z wyrazem przebaczenia na mojém ręku skonała.

Za temi wyrazami całe ciało wyprężyło się konwulsyjnie, oddech ustał, tylko piana toczyła się z ust sinych, zacieśnionych, — i zdawało się, że już ostatnia dla niego wybiła godzina.

Przerażony tak okropnym widokiem nie wie-

działem, co czynić, i już po pomoc do dworu pobiedz zamierzyłem, gdy nagle niepojętém przeczuciem wpadłem na myśl użycia magnetyzmu; — i jakżeż wielkiem było moje zadziwienie, gdy po kilkunastu pociągnieniach chory odzyskał oddech i zasnął spokojnie.

— Siłą mojéj woli żądam od ciebie, abyś mi szczerą wyznał prawdę we wszystkiem, o co się ciebie zapytam... Będzieszli dobrowolnie posłusznym?

W skurczonych rysach twarzy chorego odbijała się walka wewnętrzna, uporna i zgryźliwa.

Powtórzyłem pociągnienia nad głową i nad sercem, — wówczas dopiero wymówił:

«Będę posłusznym».

Przez kilka godzin z małemi przestankami badałem nieszczęśliwego; — objaśnienia i zeznania przejmowały naprzemian zgrozą i litością.

Rodzaj choroby podług jego jasnowidzenia był dwojaki: moralna rozpacz i nadużycie siły fizycznéj, a potém brak najkonieczniejszych potrzeb do życia, brak powszedniego pokarmu.

Wyuzdana lekkomyślność bogatego szlachcica i niepokonana namiętność do gier hazardowych z jednéj, a najnikczemniejsza przewrotność podłego lichwiarza z drugiéj strony, przywiodły nieszczęśliwego do stanu ostateczności.

Była to historya życia wielu naszych niegdyś paniczów, historya głupoty i marnotrawstwa. Na zapytanie, czyli nie widzi środków pomocy alboli

téż ulgi, odpowiedział, że już wszystko za późno, — i prosił mnie jedynie, abym jego synowi wskazał papiery, które złożył w familijnym grobie żony swojéj.

— A wiesz ty z pewnością, że twój syn Tadeusz żyje jeszcze?

— Ja go widzę w téj chwili... pod drzewem palmowém skwarnéj Afryki stoi oparty o działo i patrzy w te strony, gdzie wszystkie jego myśli utkwiły. Nieszczęśliwe dziecko marzy o szczęściu oglądania mnie jeszcze... nie wie, że gdy powróci, nie znajdzie już ani domu ani ojca... i świętą radość największéj nagrody łzą syna obleje... i na moim grobie będzie się pytał o imię mojego mordercy... wówczas wypełnisz prośbę moję. O więcéj nie badaj mnie dzisiaj. Bóg nagrodzi twoję litość, jaką mi obecnie okazujesz; — ja zaś w zawdzięczeniu odkryję ci tajemnicę, z któréj powinieneś korzystać.

Łotr Węchocki, gdy jeszcze w Warszawie trudnił się lichwiarstwem, zanim się rozłączył z swoim szwagrem Pazurkiewiczem, zanim tu przybył odgrywać rolę godnego obywatela, przedsięwziął uzyskać szlachectwo, ale nie na drodze spełnienia czynów szlachetnych, — gdyż ku temu żadnego nie miał usposobienia; — przez podrobienie więc dokumentów oszukał władzę i zyskał herb. Do téj występnéj i podłéj szachrajki użył za pomiernem wynagrodzeniem jednego ze swoich dłużników, znającego sztukę naśladowania starego pisma, żółcenia

papieru i odciskania dawnych pieczęci. — Gdy więc dzisiaj Węchocki będzie się upominał u ciebie o wypłatę lichwiarskiego długu, powiedz mu, że kapitał dawno zapłaciłeś a procenta zobowiązał się zaspokoić pan Łozik, jego dobry znajomy z Galicyi. Na wspomnienie Łozika Węchocki zadrży, jak liść jesienny i uczyni wszystko, co zechcesz.

— Dlaczegóż ty sam przy swoich z nim porachunkach nie korzystałeś z téj tajemnicy?...

— Albowiem ta tajemnica jest mi na jawie obcą i znam ją tylko w chwilach snu magnetycznego.

— Powiedz mi, w którém miejscu i kiedy umawiał się Węchocki z Łozikiem o podrobienie dokumentów.

— Było to o godzinie 5-téj z południa, 19 marca 183... w pomieszkaniu Węchockiego. Okoliczności, które towarzyszyły téj umowie, były następujące.

Tutaj jasnowidzący opowiedział mi najdrobniejsze szczegóły owéj niecnéj szachrajki. Nie przytaczam tych szczegółów, bo były *zbyt brudne;* to tylko należy mi nadmienić, że przy wypłacie Węchocki Łozika oszukał, o czém w innéj ramotce opowiem.

Już było po 12-téj z południa, gdym się powtarzaném krząkaniem Węchockiego przebudził.

— Dzień dobry! dzień dobry! To jest, co się nazywa sen smaczny, a myśmy się obawiali, czy pan dobrodziéj nie zachorował.

— *(Patrząc na zegarek)*. Godzina dwunasta! najmocniéj przepraszam za moje ospalstwo.

— Cieszy nas to, że pan dobrodziéj w domu naszym wywczasować się raczył.

— Czy moje konie nie przyszły?...

— Równo ze wschodem słońca przyjechał *pański człowiek* a przed godziną przysłał pan Dobruta o wiadomość, czy pan dobrodziéj zdrów jesteś.

Nie tracąc chwili czasu, ubrałem się pospiesznie i udaliśmy się do dworu. — Po uprzejmych z paniami przywitaniach i po smacznéj kawie pan Węchocki prosił mnie, abym jego nowo założony ogród obejrzał.

Płeć piękna oświadczyła chęć towarzyszenia nam, ale jegomość mrugnął oczyma na znak, że świadków nie potrzebuje.

Ledwożeśmy w pierwszą weszli ulicę, szanowny dziedzic Miodówki zamiast zapoznania mnie z owocowemi drzewami i z kwiatkami, od razu przystąpił do rzeczy.

— Z listu mojego dowiedziałeś się pan dobrodziéj, jak bardzo potrzebuję pieniędzy; — kiedy więc szczęśliwy dla mnie zdarzył się przypadek, że pana dobrodzieja w domu moim oglądam, dozwól zapytać się, czy mogę z pewnością liczyć na wypłatę w dniu 24 czerwca b. r.?...

— Czyliż szwagier pański nie wspominał, że za umówioném wynagrodzeniem przedłużył mi termin wypłaty na rok jeden?

— Nie mówił mi ani słowa, a nawet, gdyby i mówił, ja dłużéj czekać nie mogę. Niechaj się zresztą panowie pomiędzy sobą rozprawią; ja trzymam się służącego mi prawa i będę zmuszony...

— Do czego?...

— Do przesłania urzędowéj obligacyi w ręce komornika.

— A czyliby nie było właściwiéj, gdybyś, panie, szwagra swojego zapytał o rzetelność mojego twierdzenia?

— Cóż mnie to obchodzi; ja mam czarne na białem, urzędowy oblig z natychmiastową egzekucyą.

— Więc chyba pan chcesz; abym drugi raz procent opłacał i uległ przez to nadzwyczajnemu lichwiarstwu!

— Jako obywatel i szlachcic lichwiarstwem się nie trudnię, a pańskie pociski są zupełnie niewłaściwe.

— Jako obywatel i szlachcic pan się lichwiarstwem nie trudnisz? Czy pan nie jesteś jednego herbu z Łozikiem?...

Na wspomnienie Łozika Węchocki wytrzeszczył na mnie oczy, pobladł i, jąkając się odpowiedział zmięszany:

— Ja nie — nie znam żadnego Łozika.

— Ja znam dwóch Łozików; jeden umiał stare dokumenta naśladować, drugi za też dokumenta zamiast przyrzeczonych stu pięćdziesięciu zapłacił tylko ośmdziesiąt oberżniętych dukatów, a krwa-

we poczubienie się ukończyło ten kłótliwy obrachunek. Wówczas to na własne uszy słyszałem zarzuty, jakie sobie nawzajem czynili. Obadwaj warci kajdan i podobno, że będę zmuszony świadczyć przeciwko tym łotrom... Ale o tém potém; obecnie wróćmy do naszego interesu: więc tedy pan przyrzeczeń swojego szwagra nie potwierdzasz?...

— O... o... owszem panie dobrodzieju! po... potwierdzę i... poczekam, jak długo łaskawy pan zechcesz.

— Ale tu zachodzi jeszcze inna okoliczność. Jam oddawna pożyczony kapitał i prawne procenta zapłacił, a suma, którą pan od Pazurkiewicza nabyłeś, jest lichwą tylko; — czyliby więc pan nie był łaskaw zrobić ze mną innego porachunku i innego układu?...

— O... o... owszem.

— Kiedyś pan tak grzeczny, racz mi przeto zwrócić mój urzędowy oblig, a przyjąć rewers pana Dobruty, swojego szanownego sąsiada. Że zaś pan Dobruta dłużny mi jest 8,000 złp. z prawnym procentem od lat kilkunastu, dopłacisz mi panie 7,000 złp. i dasz mi zapewnienie na piśmie, że od pana Dobruty *tylko kapitału* upominać się będziesz i to nie pierwéj, jak po upływie całego roku, albowiem poczciwy Dobruta obecnie nie jest w stanie uiszczenia się.

— Z... z... zgoda.

— Nadto mam do pana jeszcze jedną prośbę. Ten waryat, który dzisiaj w oficynie obok mnie

nocował, podstępném działaniem Łozików resztę swojego majątku utracił; czylibyś nie był łaskaw zahipotekować dla niego do śmierci po złp. 2,000, a dla jego syna Tadeusza, służącego wojskowo w Algierze, posłać chociażby tylko 20,000 franków...

— Panie, to za wiele!

— Mówmy otwarcie; zbytecznie korzystałeś z nieszczęścia podupadłéj rodziny, kupiłeś Miodówkę więcéj niż za bezcen, potrącając bowiem lichwę, ledwo że 500 złp. zapłaciłeś za chełmińską włókę, a jednakże jest to 180 włók ziemi pszennéj...

— Panie dobrodzieju! na rok mokry wszystko wymoknie, na suchy rok wypali...

— A jakżeż chciałbyś, żeby w mokrym roku wypaliło, a w suchym wymokło?

— Nie, ja tego nie mówię, tylko powiadam, że od granicy są piaski, i... i... jak pana dobrodzieja szanuję...

— Nie żądam twojego szacunku, bo ty tylko podług spodziewanych zysków ludzi szacować umiesz. Szacowałeś Henryka dopóty, dopóki z niego bez miary korzystać mogłeś, wówczas to mieniłeś go jaśnie wielmożnym, — a dzisiaj dozwalasz, że na zgniłéj słomie pod twoim progiem z głodu umiera.

— On sam temu winien, gdyż wytoczył proces o unieważnienie urzędowego zemną porachunku i przez to utracił prawo do mojéj litości; a przecież...

— Milcz, najpodlejszy niegodziwcze! — tobież to godzi się wymawiać święty wyraz «litości!» — Więc podług twojéj machiawelskiéj zasady, litości

ma prosić ten, którego do najokropniejszéj nędzy przywiodłeś, do nędzy, co go przyprawiła o obłąkanie zmysłów do nędzy, która jego matkę, żonę i dzieci w zawczesny grób wtrąciła! Bękarcie rodu ludzkiego! lichwiarzu! ty na krwawych łzach nieszczęścia zbudowałeś ołtarz złotego cielca;—uczucia szlachetne nigdy nie postały w twém sercu, do twoich więc uczuć nie odwołuję się, raczéj powiedz, czy chcesz, abym objawieniem twoich zbrodni postawił cię pod pręgierz publicznéj wzgardy, czyli też to wszystko, czegom żądał, wypełnisz bezzwłocznie?...

W konwulsyjnym przestrachu odpowiedział zbrodniarz:

— Wszystko wypełnię.

Cztery lata upłynęły od owéj chwili. — Henryk, osiwiały starzec, odzyskał zmysły i błagał Boga o przebaczenie za swoję przeszłość. Węchocki odesłał Tadeuszowi 20,000 franków a dawniejszemu dziedzicowi Miodówki co kwartał z góry najregularniéj po 500 złp. wypłaca.

Dobruta dopiero przed rokiem umarł na *plaurę*. Jego synowie jeszcze się sąsiadowi nie uiścili, gdyż w Chłodnéj-Wólce przy dziedzicznie jeneralnym nieurodzaju oziminy i jarzyny ledwo na skarbowe podatki wystarczą i, gdyby nie naddzierżawca, pan Finezy, który im od czasu do czasu na hipotekę pożycza, spadkobiercy Jana w Oleju byliby często w najprzykrzejszym kłopocie. Od kilku tygodni przyjechał pan Kalikst do Warszawy i sta-

nął w Rzymskim hotelu. — Wczoraj płacąc u Francuza 16 złp. za dwa *dubelty*, bezczelnie na ciężkie czasy narzekał... *Sic! Sic!*

SALON LITERACKI.

W Chinach na 3,421 lat przed narodzeniem Chr., w ówczesném mieście stołecznem Kinikoj nadobna i piękna przyjaciółka półkownika gwardyi państwa niebieskiego, jasnobrewa Mou-Mik-Fou-Pfy, gdy półkownik wyjechał o mil 200 na wojnę przeciw rzeczy-pospolitéj Rarytów, — otóż wtenczas owa Fou-Pfy była od stworzenia świata najpierwszą, która w mieście Kinikoj literackie otwołzyła salony i wezwała na nie młodzież co najpiękniejszą a dla zamaskowania swych rzeczywistych zamiarów zaprosiła także kilku sędziwych splenników naukowych i zgrzybiałych filozofów. Historya literackich salonów panny Mou-Mik-Fou-Pfy, przez spółczesnego kronikarza w 12 tomach in quarto spisana wierszem miarowym, zaginęła podczas potopu; Noe tylko posiadał z trzeciego, z ósmego i z dziewiątego tomu wypisy ciekawszych zdarzeń i ten to rękopism Noego z objaśnieniami, poczynionemi przez Sanchoniatona, historyka fenicyjskiego, jest najpierwszém źródłem, z którego o pierwotnym celu salonów literackich dowiedzieć się można.

Żona Sezostrysa, króla Egipskiego, która, jak wiadomo, była bardzo głęboko uczoną kobietą, następnie Masynisa, król Numidyi i syn jego Jugarta, późniéj Hannibal podczas wojen punickich, w chwilach od zatrudnień wolnych, wiele i szeroko pisali przeciw autentyczności rękopisów Noego; — wszakżeż wszelkie w téj mierze wątpliwości Ludwik Łysy, władca Francyi, Henryk Ptasznik, cesarz niemiecki i astronom Herszel krytycznemi rozbiorami najzupełniéj usunęli i błędem jest nie do darowania, dlaczego księżna d'Abrantes, wdowa po czcigodnym Junot'cie, pisząc o salonach, ani razu o pannie Mou-Mik-Fou-Pfy nie wspomina i początek salonów literackich wyłącznie do saméj Francyi odnosi.

U nas w Polsce żadnéj dotąd nie posiadamy historyi rodowych salonów literackich, bo téż i polskie salony literackie bardzo niedawno istnieją; — a chociaż od kilku lat wielce się zagęściły i dla ludzi *quasi* naukowych jest dzisiaj z łaski Boga gdzie popróżnować, to jednakże nie czas jeszcze po temu, abyśmy już mieli w tym przedmiocie pisać osobne historyczne dzieło. Niemniéj przeto rozumiem, że mały odłamek z dziś-czesnych dziejów naszych literackich salonów łaskawych znajdzie czytelników; — a więc zaczynam:

Roku 1844 Kamilla z Gomółkowskich Cielątkowska i mąż jéj, Cielątkowski Wojciech, dla lekcyi tańca swojéj najstarszéj córki postanowili w gubernialném mieście zimę przepędzić. Jakoż już

w początkach miesiąca października Wojciech Cielątkowski całe pierwsze piętro narożnéj w rynku kamienicy półrocznie wynajął, swoim kosztem odświeżył i uporządkował. W początkach miesiąca listopada przywieziono ze wsi meble i fortepian, kuchenne naczynia i sprzęty, w 8 dni późniéj sprowadzono znaczny zapas siana i obroków, kilkadziesiąt sztuk rozmaitego drobiu i obfitą spiżarnię legumin; 16 listopada przybył kredencerz, dziewka i trzy dojne krowy; nazajutrz zaś, w samo południe, przyjechali państwo Cielątkowscy nową landarą z walizami, z kuframi i z ogromnym tłomokiem pościeli, osobną fornalką tuż za landarą wiezionym, na którym to tłomoku pokojówka Zuzia, siedząc z rozpiętym parasolikiem w ręku, o dobrym tonie swéj pani uprzedzające dawała świadectwo. Zanim się pani Cielątkowska na pierwszém piętrze narożnéj kamienicy usadowi, zanim zawyrokuje, że dla jegomości potrzeba na dole przynająć osobny pokoik, zanim rozpakują rzeczy i jaki taki ład zrobią, powiem cokolwiek o dawniejszym żywocie państwa Cielątkowskich i tym razem od pana Cielątkowskiego zacznę.

Wojciech Cielątkowski, syn Walentego i Małgorzaty z Prosiątkiewiczów Cielątkowskich, urodził się nad rzeką Prosną w dzierżawnéj wiosce, Wielkie Mordy. Do 14 roku życia swojego nie uczył się ani czytać ani pisać, bo był jedynakiem i matka kochała go pasyami, a ojciec, pan Walenty, kochał znów żonę pasyami i nie chciał jéj się w niczém

sprzeciwiać; nadto zatrudniony z dnia na dzień gospodarstwem i polowaniem, nie miał czasu myślić o początkowém wychowaniu syna i spuszczał się w téj mierze na żonę swoję z bezwarunkową ufnością. Dopiero, gdy mu ksiądz proboszcz pewnego razu mocne uczynił reflexye, że Woś nie był jeszcze u spowiedzi, a to z przyczyny, iż katechizmu wcale nie umie; — gdy wspominał, że zgrozą jest, aby czternastoletni chłopak i jednéj nie znał litery, wówczas to pan Walenty spostrzegł, że się w ojcowskim obowiązku nieco opóźnił i w kilka dni potém przywiózł z Kalisza jakiegoś pana Mazgajskiego na nauczyciela dla Wosia. Pan Mazgajski, niegdyś podoficer od ułanów, późniéj przez ożenienie się z wdową kupcową posiadacz korzennego handlu, późniéj podleśny w dobrach rządowych, późniéj prywatny sekretarz przy pisarzu Żupy Solnéj; w końcu asystent przy odbieraniu kopytkowego w Kaliszu, — jakto mówią, człowiek, co nie z jednego pieca chléb jadał, pojął odrazu, że w Wielkich Mordach najwłaściwszą postąpi drogą, gdy, stosując się do woli pani Cielątkowskiéj, Wosia do nauk naglić nie będzie.

Przez cztery lata pobytu pana Mazgajskiego Woś nauczył się czytać, pisać i rachować o tyle, że w mieście Warcie za usilném staraniem ojca do klasy pierwszéj szkoły Bernardynów przyjętym został.

Jak wielkie postępy w naukach Wosio w mieście Warcie uczynił, oznaczyć nie umiem; to tylko

jest mi wiadomem, że w sześć tygodni po rozpoczęciu nauk, jakoś przed Zielonemi Świątkami, piechotą do rodzicielskiego domu drapnął i już do szkół nigdy nie powrócił; albowiem, jak się wyżéj powiedziało, matka kochała jedynaka pasyami, a ojciec zaś kochał matkę pasyami i w niczém jéj się sprzeciwiać nie chciał; w tym razie tém mniéj, że na żądanie rozpaczającéj żony naocznie się przekonał, iż miękka część jedynaka Wosia nielitościwie sińcami opatrzoną była, — i to tylko podobno za to, że na lekcyi arytmetyki, gdy profesor na tablicy pisał przykłady mnożenia (multyplikacyi), Wosio zdrzymnął się troszeczkę. Dziwną to jest rzeczą, że często wypadki, na pozór drobne, wielki na całe życie człowieka wpływ wywierają!... Wosio w szkołach za niechęć do mnożenia ćwiczony, mnożenie w pamięci zachował i, kiedy we dwa lata po ukończeniu nauk w mieście Warcie, dzierżawne rządy Małych Mordów przez ojca oddane sobie miał, tak dobrze dochody mnożył, że przed dojściem do pełnoletności już 28,000 złp. uzbierał. I mówże tu o nauce w rolnictwie potrzebnéj!

Dziedziczką Wielkich i Małych Mordów była pani Gomółkowska, któréj ojciec był dawnemi czasy dygnitarzem, żyła kiedyś na wielkim świecie to jest: w Warszawie i po śmierci męża przez lat kilkanaście ani razu w dobrach swych nie postała; ale gdy dzierżawca, pan Wojciech Cielątkowski, nowych przypożyczek odmówił, gdy do-

chody z dóbr zaledwie na opłatę procentów starczyły, pani Gomółkowska z żalem opuściła stolicę i do Wielkich Mordów na mieszkanie zjechała, mając w dzierżawnym kontrakcie Cielątkowskiego wymówiony dla siebie pałac, ogród angielski, 50 korcy twardego zboża i inne jeszcze pomniejsze dodatki i dogodności.

Z początku pani Gomółkowska i jéj córka Kamilla widywały się tylko z samym Cielątkowskim przy czynieniu pieniężnych obrachunków; lecz gdy przysłał wypowiedzenie częściowo przypożyczonéj bezpośrednio, częściowo od żydów nabytéj sumy 192,000 złp. — gdy wywłaszczeniem dóbr zagroził, pani Gomółkowska za rzecz rozsądku uznała odwiedzić panią Cielątkowską i na drodze niewieściéj dyplomacyi względność i uległość Cielątkowskich dla swego interesu pozyskać.

Nie wątpię, że niejedna z dziedziczek zgorszyła się postępkiem pani Cielątkowskiéj, i ja sam, co tę ramotkę piszę, wyznaję, że się zgorszyłem. Lecz zważywszy, że szacunek Wielkich Mordów 400,000 zł. nie przechodził, a dług Towarz. Kredyt. 130,000 zł. — pożyczka skarbowa 90,000, — sumy Cielątkowskich prócz wielu drobiazgów 192,000 zł. wynoszące, w razie przymuszonéj sprzedaży Mordów, stworzyłyby wyraźny *minus* dla dziedziczki, — zważając i zważywszy tę przykrą okoliczność, należy przebaczyć pani Gomółkowskiéj, że się do grzeczności względem dzierżawców Cielątkowskich zniżyła. Boże! ileż to ofiar ze zna-

komitych uczuć wielkiego świata damy dla interesu nie czynią. Trudno płynąć pod wodę. Pani Gomółkowska znała świat wielki, znała słabości ludzkie, znała swoje interesa; była matką ukochanéj córki, szło o byt, szło o pieniądze; — niech tam zresztą kto, jak chce, sądzi, pani Gomółkowskiéj potrzeba było pozyskać przyjaźń Cielątkowskich. Otóż więc z téj przyczyny 17 września r. 18... w niedzielę po południu z córką Kamilą od wiedziła panią Cielątkowską!...

Aż mi pióro drży w ręku do pisania téj pierwszéj wizyty; o! ta pierwsza wizyta była mistrzowską, zawierała w sobie szczegóły cudowne; cóż kiedy niepodobna wszystkiego na raz wypisać; nadto w gubernialném mieście w narożnéj kamienicy jestem bardzo potrzebny, a więc rad nierad muszę pominąć opis wizyty pierwszéj, muszę pominąć cudowną rewizytę pani Walentowéj Cielątkowskiéj, muszę pominąć pierwsze zapoznanie się pana Wojciecha z panną Kamillą, ach! wiele, wiele scen wybornych pomijam i krótko a węzłowato opowiem, że pan Wojciech, po dwuletniéj milczącéj konkurencyi do pięknéj panny dziedziczki wiedząc, że panna Kamilla lubi zupę z dyni, posłał jéj w podarunku ogromnéj wielkości dynię, na któréj własną ręką «kocham cię, pani!...» scyzorykiem wyrznął, — a w trzy miesiące późniéj z panną dziedziczką przed ślubnym stanął ołtarzem.

Interes pieniężny i dynia z napisem «kocham

cię, pani!» stworzyły związek małżeński Wojciecha Cielątkowskiego z Kamillą Gomółkowską.

W 16 lat po ślubie widzieliśmy ich wjeżdżających do miasta gubernialnego... Widzieliśmy ich wysiadających do narożnej kamienicy; lecz prócz posłuchu, że to są ludzie bardzo bogaci, że przyjechali dla lekcyi tańca swéj starszéj córki, nie wiedziano nic więcej. Dopiero nazajutrz wieczorem pan Zenon, assesor trybunału cywilnego pierwszej instancyi, opowiadał u państwa N... że pani Cielątkowska upoważniła go do wprowadzenia w jéj dom, o ile można, najwięcéj młodzieży, albowiem zamierzyła otworzyć salony literackie!...

— Proszę cię, duszko, zapytała pocichu swojego małżonka pani regentowa Kleksowicz, — cóżto istotnie znaczą te salony literackie?

— Moje kochanie, pocichu odrzekł pan regent Kleksowicz, — Jestto wykład *pewnych nauk literackich* w domach przyjacielskich, zwykle w stolicy praktykowany, mianowicie w Paryżu, gdzie już taka moda, że kobiety uczone dają takie wieczory uczone, i to nazywają salony literackie.

— Więc pani Cielątkowska jest tak uczona?

— A zapewne, kiedy otwiera literackie salony, głupią być nie może.

— Proszę pana sędziego, zapytała swojego sąsiada pani Krętalska, żona adwokata, czy tylko sami mężczyźni bywają na takich salonach literackich?...

— Nie umiem tego pani dobrodziejce objaśnić,

bo ja nigdy nie byłem na żadnym literackim salonie.

Pan Zenon. Zwykle sami mężczyźni bywają.

Pani Kleksowicz. To nie dobrze, że sami mężczyźni.

Pan Zenon. Dlaczego, pani dobrodziejko nie dobrze?

Pani Kleksowicz. Widzisz pan dlatego, że kiedy kobieta uczy, powinna uczyć także i kobiety a nie samych mężczyzn.

Pan Zenon. Ale to nie jest żadna prelekcya, to jest tylko konwersacya o rzeczach uczonych.

Pan Kleksowicz. Moje kochanie, konwersacya nie jest prelekcyą.

Pani Kleksowicz. No to ja wiem, że nie zadają żadnych lekcyi, ale zawsze pani Cielątkowska będzie tym panom rozpowiadała o uczonych rzeczach.

Robaczyński doktor. A bodaj państwa z waszemi salonami! Zabiłem fortę; dlaczego pani naczelnikowa nie zadała pik albo karo?

Pani Naczelnikowa. Zasłuchałam się o tych salonach literackich i zapomniałam, że radca wygrał renons.

Robaczyński doktor. A propos, czy to ten Cielątkowski, który kupił Rogały od pana hrabiego?..

Zenon. Ten sam.

Robaczyński. Chyba to żarty żeby on miał otwierać salony literackie... ledwie że się podpisać umie.

Pani Naczelnikowa. Do otwierania nie potrzeba

nauki; nasz Andrzej wcale do szkół nie chodził a wybornie otwiera podwoje.

Pan Zenon. Dowcipnie lecz złośliwie! a trzeba pani dobrodziejce wiedzieć, że i pan naczelnik zaproszonym będzie.

Naczelnikowa. Wątpię, aby mój mąż miał czas do tych literackich salonów; wczoraj wyjechał do Warszawy, jak powróci, zacznie się spis wojskowy.

Pani Kleksowicz. I mój mąż nie będzie, bo pan Cielątkowski, kupując Rogały, robił transakcyą przed Kminkowskim, chociaż mój mąż mówił nawet panu hrabiemu...

Pan Kleksowicz. Ale moja duszko, wolno każdemu...

Robaczyński. Cztery honory i trzy lewy siedm a ośm 15, 5 reszty, partie double, robr z dziewięciu. Powiedz mi, panie asesorze, czy tam na tych waszych literackich salonach będą grywali w wiska?...

Pan Zenon. Osoby nie naukowe będą zapewne w wiska grywać...

Robaczyński. A któż to ułoży listę naukowych i nienaukowych?

Pani Kleksowicz. Zdaje się, że to już należeć będzie do pana Dyrektora z gimnazyum.

Te i tym podobne rozmowy, których niepodobna wszystkich powtórzyć, odnawiały się codziennie w każdem niemal zebraniu; nadto mało miejskie panie rozciągnęły baczność na wszystko, co, w domu Cielątkowskich zaszło lub zajść miało; wiedziano, jakie są firanki, jakie meble; ile zapła-

cono od wywoskowania posadzki; co jedzą, co piją, co mówią, nawet i co myślą; kto bywa, kto bywać będzie; wiedziano, że pani Cielątkowska rządzi i błądzi, a pan Cielątkowski na wszystko się zgadza; wiedziano że pan Zenon, asesor trybunału 1-éj instancyi, jest wielkim marszałkiem dworu państwa Cielątkowskich, że już wielu z młodzieży wprowadził, że wielu jeszcze wprowadzić ma; wiedziano, że panna Barbara Cielątkowska lekcye tańca już rozpoczęła, że bardzo wiele francuzkich czyta romansów, że mówi wiele o tajemnicach Paryża, że w absolutnych pojęciach ma wielką przewagę nad rodzicami, że pali hiszpańskie sygaretta, że robi wiersze, że filozofią umie na pamięć; — a co jeszcze główniejsza, wiedziano, że rodzice dla niéj przeznaczyli 200,000 złp. na posag i że ta suma w listach zastawnych w osobnej spoczywa szkatułce. Pogłoska o baranich skórach rzuciła nieugaszony pożar w serca miejscowej i zamiejscowéj młodzieży a lubo każdy wypierał się tak podrzędnego uczucia, jednakże po prawdzie nie było ani jednego z kandydatów do małżeńskiego stanu, któryby o owéj szkatułce nie marzył.

Już siedmnastu kawalerów zgłosiło się o zaszczyt bywania na literackich salonach, więc tedy pani Cielątkowska, nie zwłócząc dłużéj, dzień czwartego grudnia, dzień imienin swéj córki, na pierwszy literacki wieczór przeznaczając, trzy uosobione francuskie romanse płci żeńskiéj i trzydziestu mężczyzn zaprosiła. Od samego rana trwały przygotowania

w narożnéj kamienicy. Pan Cielątkowski, z kluczykami od spiżarni co chwila przez kucharza wzywany, wydawał mąkę, masło, cukier, korzenie, rozporządzał przyprawę do sztufady, radził nad sosem do ryb, sprzeczał się o leguminy, wino garncowe w butelki przelewał, srebra i bieliznę stołową lokajom doręczył, wschody oczyścić, dziedziniec zamieść rozkazał, drzewo do pieców wydzielił, trociczki przygotował i przy tak ważnych a niezliczonych zatrudnieniach upłynął dzień cały i dopiero zmierzchem posłał po balbierza, — umył się, a chociaż nie był egoistą, począł jednakże rozmyślać, czy w czarnym czy w granatowym fraku wystąpić. Pani Cielątkowska z córką takoż od samego rana były zajęte; do południa trzy razy zmieniały porządek rozrzuconych książek na głównym stoliku i pięć razy ustawiały krzesła; po południu każda w osobnym pokoju ostateczne przed zwierciadłem czyniła usiłowania. Matka siedm zmieniła stroików na głowę; Basia doprowadziła rysy swéj twarzy do zupełnego posłuszeństwa: zamyślenie, natchnienie, roztargnienie, łagodność, chmurka na czole, gwałtowne uczucia, wszystko odcieniowało się przewybornie; — i o godzinie 6 pani Cielątkowska w cytrynowéj sukni jedwabnéj, w czarnym blondynowym czepeczku z ponsowemi różami; Basia w białéj organtynowéj sukience z aksamitną szarfą koloru niebieskiego, z rozkwitającą różą przy lewym boku, z jednym bławatkiem w splotach czarnego włosa, pan Cielątkowski w gra-

natowym fraku, w pantalionach granatowych ze strzemiączkami, zgromadzili się w głównym salonie.

— Cóżto jegomość wziął za kamizelkę?

— Że też to papa nigdy się nie ubierze stosownie!

— Dla czego nie masz rękawiczek?

— Papo! na literacki wieczór mężczyznie ani podobna ubierać się inaczej jak czarno.

— Ona ma racyą, weź mi zaraz frak czarny.

— Ach Boże! że też to papa zawsze zrobi jaki nonsens.

Papa, słowa nie odrzekłszy, wrócił się na dół do swojego pokoju i niezadługo przyszedł w rękawiczkach i w czarnym fraku.

— Ach papo! czarny frak i granatowe pantaliony, quelle idée! — zawołała z oburzeniem córka a matka dodała z gniewem: — Ja nie wiem kiedy ty już rozum mieć będziesz?

Jegomość więc, znów nie rzekłszy ani słowa, powtórnie udał się do swego pokoju i o wpół do ósméj wrócił jak kruk czarno ubrany.

W tęż chwilę wbiegł znany nam pan Zenon, assesor trybunału 1-éj instancyi, wystrojony à quatre épingles i najgwałtowniéj piżmem woniejący.

Bon soir Madame! bon soir, Mademoiselle la comtesse! dobry wieczór, panie Cielątkowski! *(obejrzawszy się po pokoju)*. Panie są dobrze, bardzo dobrze! wszystko dobrze, lecz fortepian należy nieco posunąć naprzód, — ustawianie instrumentu przy ścianach, pardonnez Mesdames, ale to trąci

wiejskością. O tak dobrze!... Książki! à merveile, Kefaliński! George Sand, Eugeniusz Sue, Wiszniewski, Przegląd warszawski, ah voila! Przegląd naukowy, Biblioteka warszawska, «Mięszaniny» — qu'est-ce-que-c'est ... «Niz ma hemoroid» fi donc! jak można pokazywać tak obrzydliwe dzieło.

— Widzi mama, że ja zaraz mówiłam...

— Księgarz mnie zapewniał, że to do najnowszych utworów należy; że zaś będzie pan doktor Robaczyński, chciałam mu więc zrobić surpryzę.

Pan Zenon. Nie, nie! cela ne va pas.

— Mężu, zanieś tę ksiażkę do drugiego pokoju.

Jegomość, wziąwszy podaną sobie książeczkę, poniósł ją do przyległego pokoju; pan Zenon tymczasem wyjął z kieszeni przyniesionych kilka dzieł nowszych, jako to: Córkę Artysty, Poezye Orzeszki, Twory Minasowicza i Filozofią ekonomii materyalnéj, któremi zbogacił rozłożony na stoliku księgozbiór.

— Mille graces! z wdzięcznością wymówiła pani Cielątkowska a panna Basia rzuciła dziękczynne spojrzenie, na które asesor odpowiedział szczerym drobnéj rączki pocałunkiem.

— Należy jeszcze uczynić, odezwał się assesor, pewien literacki nieład pomiędzy temi książkami jako dowód że są w użyciu. Ale co widzę! karty nie porozcinane! — ach dla Boga zdradziłyby się panie najokropniéj.

Noży! noży! kilku noży!

— Janie! Grzegorzu! mężu! noży! dajcie noży!

— Papo! noży! noży!

Jan, Grzegorz i Papa Cielątkowski przyskoczyli na rozkaz z koszykiem przygotowanych do wieczerzy noży i wszyscy poczęli z największym pośpiechem rozcinać karty książek. Panie i assesor odbywali tę operacyą dość zgrabnie; ale jegomość i lokaje szarpali nielitościwie i z pod ich rąk wychodziły książki z frendzlami wcale nieestetycznemi.

Jeszcze téj pospiesznéj operacyi ani w połowie robotnicy nie ukończyli, gdy usłyszano w sieni przybywających gości. Naturalnie operacya ustała, służba pobiegła do przedpokojów a panie i assesor rozpoczęli ceremonią przyjęcia. Z każdą chwilą przybywały coraz to nowe osoby, wreszcie o godzinie 9-téj znajdowali się już wszyscy zaproszeni; było mężczyzn 30, białogłów trzy prócz gospodyni domu i jéj córki, panny Barbary.

Przy pierwszem daniu herbaty panna Cielątkowska głośną zawiązała rozmowę z panem Zenonem o obecnem stanowisku filozofii niemieckiej; pani Cielątkowska zaś przy głównym stoliku chwaliła powieści pana Laskowskiego i opowiadając treść Hiszpanki w Polsce, dziwiła się nad twórczością autora. Mniéj więcéj wszyscy obecni zgadzali się ze zdaniem pani Cielątkowskiéj; natomiast rozprawa o filozofii stawała się coraz żarliwszą, albowiem pan Trzaski, dóbr ziemskich właściciel, kawaler świeżo przybyły z Monachium, wbrew twierdzeniu panny Cielątkowskiej utrzymywał, że filozofia niemiecka musi upaść pod objawem na-

szych pojęć słowiańskich, rodowych i że cała nadzieja zbawienia rodu ludzkiego jest głównie w przyznaniu zasad autora Myślini.

— Jeżeli pani sądzi, dowiódł ostatecznie pan Trzaski, że passynki [1]) z podmiotu Hegla są krępakiem prawdy absolutnéj, jesteś pani w największym błędzie, albowiem wynik jego pojęć jest tylko mżykiem socyalnych warunków materyi a nigdy oczyszczonéj wiedzy ducha a tem mniéj masłokiem idei Boga, bezwzględnie na awożność zasadniczéj prawdoświeci trzeciego prawdobłamu, to jest żywostanu w spiętości poznania.

Na takie prawdziwe *dictum acerbum* panna Barbara zamilkła jak truśka; ale pan Zenon, będący w oczywistéj zmowie z panem Trzaskim, przygotowany ku temu, wybornie udając, że zrozumiał dowodzenie pana Trzaskiego, odpowiedział istotnie z filozoficzną powagą:

Realność zasady przez pana objawionéj jest również moją jaźnią, o ile transcendentalność nie jest zawornikiem przedświata ani calcem rozczłonu wsobistości, bo w takim razie byłbym zmuszony

---

[1]) Passynki i wiele innych wyrazów które czytelnicy méj ramotki w filozoficznéj rozmowie pana Trzaski z panem Zenonem niezrozumiałemi znajdą, są istotnie, używane w dziele p. t. Myślini. Za niewłaściwe zaś używanie i za bezmyślne nagromadzenie tychże wyrazów niechaj panowie Trzaski i Zenon odpowiedzą ja tylko to dosłownie powtarzam, co na moje uszy słyszałem.

prawdosłęb panny Barbary uważać za przyczynowość spółrzędnego dwójgańca.

— Sacz myśli pana assesora jest antymonią do moich passynków a trafak tylko mógł nas zjednoczyć w siestrzenach bezwzględnéj jedni, — dlatego wierzeje wykładników pańskich nie są bynajmniej kwiatowym rozwojem osobistości.

— Za pozwoleniem, czyliż pan dychtomią i trychtomią w różnojedni chcesz supernaturalizować bez względu na stan przeświadczenia?...

Bynajmniéj; ja uważam ostoję empiryzmu jako achromatyczność prawdozbiorów zupełnie odrębnej wiedzo-świeci [1]), i tutaj właśnie jest innobyt i rozłoga zlewu jedno-przydrugości ogólnego bożostanu; ztąd téż spiętość *in sempiterno* [2]) biorąc korzącą rotundę wszechistnienia za świat trzeci, czwarty i piąty, musimy nie a posteriori ale a totali przyznać jako przyjście do rzeczywistego przeświadczenia *in sempiterno.*

— Ale panowie! zawołał były major Ząbkowski, — któż słyszał, aby o sempiternie mówiono przy damach?... Panie Trzaski! znudzisz i nikogo nie nauczysz.

— Vouz avez raison, majorze ozwała się pani Cielątkowska, trudno nam rozumieć, o co się panowie sprzeczają. Już to moja Basia zawsze musi

---

[1]) Czy tylko nie wiedzo-śmieci?...

[2]) Sic!

tę filozofią zaczepić. To dobrze, kiedy wszyscy rozumieją, ale nie pomiędzy tylu osobami.

— Pani! odezwał się Kaczykowski, 18 letni młodzieniec, filozofia jest głównem zadaniem naszego stulecia i należy uwielbiać każdą sposobność, w której życzliwa chwila przypuszcza nas w dziedzinę podmiotowych badań materyi ducha na polu wiedzowéj widzy umu ludzkiego.

Pan Zenon. Niewątpliwie.

Pani Cielątkowska. Nie przeczę; ale panowie pozwolą, że i poezya ma swoje wielkie prawa. Pan Bzik przyobiecał wczoraj, że dzisiaj raczy nam zaimprowizować...

Wszyscy spojrzeli się na pana Bzika, który, nie czekając powtórzenia prośby, wystąpił na środek, wzniósł do góry białoglansowaną rękawiczkę, oczy kołem postawił, ciężko odetchnął i następny wiersz z wielkim uczuciem wygłosił:

Nocy cień
Okrył dzień
I ponury
Z poza chmury
Księżyc spuszcza sen.
Blade światło
Bierzcie za tło
Malowniczych scen!
Myśli tłum
Krajem dum
Wtenczas rządzi;
Serce błądzi,
Jak miły ten byt!
O! w tę porę
Serce gore,
Lecąc w natchnień szczyt.
. . . . . .
. . . . . .
Dla mnie noc
Ma tę moc;
Pod jej cieniem
Ja promieniem

Barwię uczuć nić. Mogę zgodnie
I swobodnie Szczęścia wianki wić!...

Bzik skończył a powszechny poklask uwieńczył geniusz wieszcza, który zaimprowizował tę cudowną, jak sam nazwał, «Iskrę fantastyczną». Pani Językiewicz tylko, autorka kilku kompilacyi francuzkich romansów, uczyniła uwagę, że coś podobnego czytała w rękopisach przygotowanych do Lubelskiego Fijołka.

Na taki zarzut pan Bzik dał słowo honoru, że pani Językiewicz myli się najwyraźniéj i dla zawstydzenia pamięci swéj złośliwéj przeciwniczki powtórzył całą Iskrę fantastyczną, a na prośby gospodyni domu też iskrę fantastyczną wpisał dosłownie w sztambuch panny Barbary z umieszczeniem swojego nazwiska i imienia. Przy tej okoliczności wszczęła się żywa dyskusya, czy należy pierwéj nazwisko czy imię podpisywać? Wiele głosów było za pierwszeństwem nazwiska, wiele przeciw; zdania się podzieliły niemal na dwie równe części, szczęściem że był obecnym sławny historyk, który przez pół godziny wywodził i dowiódł, że historya dla imienia pierwszeństwo naznacza, albowiem bracia Romulus i Remus zawsze pierwej swoje imiona podpisywali; twierdzenie więc strony przeciwnéj, że narodzenie poprzedza chrzest, jako zmysłowa przyczyna, odrzuconém zostało. Po téj historyczno-religijno-filozoficznej dyspucie pani Helena, młoda lecz smętna rozwódka, zapytała pana Edwarda

Bzika, czyliby nie był łaskaw jeszcze jednę Iskrę zaimprowizować?...

— Pani, odpowiedział Edward Bzik, natura tylko dla pani była szczodrą, gromadząc w jéj oczach iskier tysiące... ale jeżeli pani pozwoli, zaimprowizuję «Czarną Elegią».

— Prosimy! prosimy! zawołały panie, a ktoś dodał z boku:

— A ha! to ta cudowna elegia, którą pan Edward improwizował u naczelnikowej; słowo honoru, że nie porównana.

Bzik powtórnie stanął na środku pokoju, powtórnie wzniósł do góry białoglansowaną rękawiczkę, powtórnie zatoczył oczami w punkt nieruchomy i stłumionym a rozmiarowo powolnym głosem w dzwonek natchnienia uderzył:

„I było smutno! całe przestworze
Lśniło jak w nocy Adryatów morze.
. . . . . .
. . . . . .
Lecz cóż to za ton?...
Jakby w kościele wieczorny dzwon
Rozbudza cmentarza ciszę,
Z jakiejże piersi wypłynął on,
Ze w powietrzu drży i dysze?...
O! ton to! ton nie z ziemi téj.

Tam na górach, tam na chmurach
Jutrzenkowy promień zwiéj

I z piorunów i z całunów
Jego całość, bracie, zlej!
O! ton to! ton! nie z ziemi téj.

Marzenia wstęgą opasany jasną,
Ton błyszczy, gwiazdy przed nim gasną —
Ton dźwięczy, wiatry przed nim jękną.
I w cichej pokorze u stóp jego klękną.

I znowu cisza; lecz całe przestworze,
Jak ług majowy w młodej wiosny porze
Pełnéj powabu, pełnéj niewinności;
Dźwięcz mi o dźwięcz, tyś tonem miłości...

„I dźwięczy on
Ów miły ton;
Mgli się i pali
Daléj i daléj.
I coraz dalej
Na morzach fali,
Aż i na ton
Nie przyjdzie skon.“

Czarna Elegia podobała się nadzwyczajnie; zrobiła pomiędzy paniami wrażenie, wrażenie aż do łez spółczucia; panna Barbara i pani Helena płakały głośno. Tylko znów pani Językiewicz odezwała się z zarzutem, że należało w takiéj elegii bezwarunkowo we wszystkich wierszach porobić zakończenia męzkie, jako najsilniéj malujące głębszą uczuciowość tyle wzniosłego przedmiotu. Zaniosło się na burzę rozpraw o przeznaczeniu poezyi, o posłannictwie poetów; a że gadali niedorzeczności posunione do siódméj potęgi ludzkiego głupstwa, przyjąłem zaproszenie do wiska. Roznoszono tymczasem na tacach spore kieliszki wina i tort wie-

deński. Pan Cielątkowski chodził z kolei do każdego z gości i prosił, aby państwo byli łaskawi pić i jeść a gdy i do dr. Robaczyńskiego w wiskowym pokoju prośbę swoję objawił, konsyliarz oświadczył, że nie tylko chętnie przyjmuję kieliszek, ale nadto wnosi zdrowie zacnego gospodarstwa, które swém przybyciem do miasta gubernialnego zdaje się zapowiadać jutrzenkę nauk i oświaty.

Pan Cielątkowski. Już to w téj mierze mojéj żonie i mojej córce należy się podziękowanie.

Dr. Robaczyński. Skromność to tylko pana dobrodzieja jest powodem, że nie przyjmujesz wyrazów powszechnéj wdzięczności; nieprawdaż, panie naczelniku?...

Naczelnik. Prawda! prawda!

Zenon (wbiegając z głównego salonu). — Panowie! ach dla Boga! jak można obrzydliwym wistem znieważać pierwszy literacki wieczór!... prosze, proszę do salonu! Pan Gładecki będzie czytał swoję wielką pieśń «O trzech Archaniołach» cudowny, Boski utwór z dziedziny prawdziwéj poezyi.

Radzi nieradzi złożyliśmy dopiero co przez regenta rozdane karty i udaliśmy się do głównego salonu, gdzie młodzieniec bladego oblicza, niski, wychudły, z krótko strzyżonym włosem, niedbale ubrany, z pomiętego sexterna czytał owę przez pana Zenona zapowiedzianą nam pieśń: O trzech Archaniołach. Nie byłto wprawdzie ani cudowny ani Boski utwór, ale był wiersz, odznaczający się

oryginalną formą. Niektóre ustępy były prawdziwie poetyckie, wszystkie udowodniały siłę czucia i duszę cnotliwéj tęsknoty; przecież główna myśl zupełnego odwiedzenia ludzi, od spraw ziemskich, wyłącznie modlitwę wskazująca, o ile była niezrozumieniem człowieka, o tyle objawiała wymuszoną jaźń autora, usiłującego sprawić gwałtowny efekt i wzbudzić w słuchaczach nibyto jakąś pokutę za grzechy.

— Któż jest ten młodzieniec, zapytałem doktora Robaczyńskiego, co tak bardzo ma wiele wrodzonego talentu a tak dziwny nadał kierunek swoim pięknym zdolnościom?

— Panie dobrodzieju! odrzekł konsyliarz, popijając wina, jestto siostrzeniec pani naczelnikowéj naszego powiatu, od dwóch tygodni tymczasowo pełniący obowiązki rachmistrza powiatowego. Przed rokiem pracował w dyrekcyi tabacznéj w Warszawie, przed dwoma laty był pomocnikiem przy geometrze w Suwałkach a przed trzema dopiero laty ukończył szkolne nauki w Sandomierzu, gdzie ojciec jego jako emeryt miał podówczas stałe zamieszkanie. Pierwszą znajomość z młodym Gładeckim zrobiłem w Suwałkach. Był to chłopiec skromny, uprzejmy, pełen chęci kształcenia się i bardzo wiele obiecujący. Ta pieśń o trzech archaniołach, którą pan dobrodziej słyszałeś, jest wiernem zwierciadłem jego dzisiejszego usposobienia umysłowego. Pietyzm czy też chęć błyszczenia pietyzmem powiodła go na bezdroża myśli i dzi-

siaj należy do zagorzałych marzycieli religijnych a żywoty świętych pańskich i jasności niebios wiją się po jego mózgu w chorobliwych widzeniach. Naprzykład przedwczoraj opowiadał mi w wielkim sekrecie, że od dwóch miesięcy codziennie w chwili wschodu słońca objawia mu się św. Ignacy Lojola, że z nim rozmawia, że go wzywa do wystąpienia przeciw autorowi Dawnej Polski że obiecuje zaprowadzić go na promieniu łaski Boskiéj do bezwzględnéj doskonałości, że mu przyrzeka uczynić go apostołem odrodzonéj ludzkości i t. d. Radziłem mu, aby przystawił synopizmy za uszami lecz nietylko nie przyjął lekarstwa ale jeszcze nazwał mnie bluźniercą, panteistą, wrogiem odrodzenia, wcielonym szatanem i, pieniąc się ze złości czy zawstydzenia, pobiegł do swych przyjaciół czernić mię w sposób najgwałtowniejszy. Nie gniewam się na niego, albowiem czyni to skutkiem choroby, i pewny jestem, że, gdyby sobie dozwolił upuścić 15 uncyi krwi, ustałoby obłąkanie i byłby z niego chłopiec jak dawniéj miły i kochany.

— Powiedz mi, konsyliarzu, czy on istotnie do tego stopnia jest chory, że wierzy w rzeczywistość swoich marzeń, czy tylko jest tyle chory, że udaje?

— Z pewnością tylko udaje.

— Cóż u licha za stan choroby, aby udawać głupiego!

— Pochodzi to w części z istotnéj słabości nerwów, a w większéj części z mody, która się

nowocześnie z Paryża udzieliła zawsze chętnéj do naśladowania Warszawie; i w Warszawie to właśnie pan Gładecki zachwycił téj szarlataneryi którą się na prowincyi popisywać chce.

— Wielka szkoda, że chłopiec z tak pięknemi zdolnościami dał się obłąkać. I któż w Warszawie wpłynął na niego tak szkodliwie?

— Rzecz się tak ma: dla talentu swéj poezyi zaproszony bywał do salonów, w salonach utracił równowagę rozumu, swoje piękne uczucia sparaliżował i co mógł być wieszczem ludu, zmienił się w narzędzie bigoteryi.

— Cóż go u licha spowodowało do odwiedzania takich literackich salonów?...

— Źle zrozumiana chęć błyszczenia, chęć popisywania się swoim talentem na niewłaściwém polu i ciekawość poznania salonów. Najgorzéj zaś młodzieńcowi nieustalonych zasad raz wleść na woskowane deski, to i trudno mu zrzec się przyjemnych dla młodego nosa kadzideł.

— Więc literackie salony byłyby prawdziwém nieszczęściem?...

— Nie dla wszystkich i nie wszystkie. Jeżeli są siedliskiem bigoteryi, człowiek rozsądny popatrzy się, ulituje się nad kołowacizną i nie zarazi się bynajmniej; jeżeli zaś są zbiorem ludzi nauk i postępu, jak w istocie być winno, wówczas przez rozmowę z światłymi ludźmi znajdzie w wielu przedmiotach łatwe, przyjemne i nader pożyteczne objaśnienie. Dlatego życzyć należy ażeby salony

literackie zastąpiły owe dawniejsze biesiady, wyłącznie z kuchni i z piwnicy złożone aby się u nas upowszechniły wszakżesz zawsze z najstaranniejszą bacznością na istotnie naukowy kierunek a nie w celu koteryi, pietyzmu osobistych widoków podrzędnych lub czczéj mody tylko.

— Cóż pan sądzi o salonie literackim pani Cielątkowskiéj?

— Salony pani Cielątkowskiéj są skutkiem troistéj rachuby; — po pierwsze: pani Cielątkowska chce się bawić w salony; powtóre, chce wydać córkę za mąż; po trzecie: chce się wsławić przez salony. Celu rzeczywiście literackich salonów nie zna, nie pojmuje a może pojąć nie zdolna.

Podczas mojéj rozmowy z konsyliarzem panna Barbara na usilne prośby młodzieży usiadła do fortepianu i nieco piskliwym głosem odśpiewała kilka wyjątków z normy. Młodzież objawiła uwielbienie w sposób bezczelny; jakiś pan Czułowicz, nibyto wskutek doznanych wrażeń, udał rodzaj blizkiego omdlenia; pan Edward zawołał donośnie: «Niech się wszystkie Włoszki schowają przy śpiewie panny Barbary;» inny kawaler znów zapewniał że głos panny Barbary jest tchnieniem anioła; czwarty westchnął i z uczuciem wymówił jeden tylko wyraz «bosko».

Pani Cielątkowska uszczęśliwiona powodzeniem Basi, już ją miała zawezwać do wyjątków z Łucyi;— aliści lokaje otworzyli podwoje jadalnego pokoju,

zkąd zapach gastronomiczny mile zachwycił literackie powonienie.

Pan Cielątkowski z hrabiną B... pomaszerowali w pierwszéj parze; hrabia B... z panią Heleną puścili się w drugą parę; naczelnik z panią pułkownikową Językiewicz toczyli się w trzeciéj parze; pan Trzaska z gospodynią domu postępowali w czwartéj parze; wieszcz Gładecki z panią Barbarą szli w piątéj parze; za nimi posunęła się reszta gości i w jednéj chwili literacki salon przepłynął do jadalnego pokoju.

Podczas obfitéj wieczerzy z początku mało co mówiono; dopiéro gdy pierwszy głód zaspokojonym został, wszczęła się rozprawa o estetyce postępowéj o dykcyonarzu Jochera, o kasie oszczędności, o kolei żelaznéj, w końcu pan Odwachowicz, autor rękopisu p. t. *Tajemnice mojej młodości* z cygarem w ustach rozpoczął opowiadanie swojego niegdyś sławnego na Polesiu romansu z żoną jakiegoś kapitana sprawnika. Dowiedziałem się nazajutrz, że ten ciekawy przedmiot zabawił gości do godziny trzeciéj z północy.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

SPIS RZECZY

TOM I-szy.

	Strona
Przedmowa	1
Głos pierwszy do czytelników	3
Głos drugi do czytelników	5
Do panów krytyków	6
Do najszanowniejszych prenumeratorów	9
Wspomnienie szkolne	12
Spostrzeżenia nad moralnemi chorobami XIX stulecia. O kołowaciźnie literackiej	19
Maleńki odłamek z historyi mojego nosa	34
Napoleon i żydki swarzędzkie	38
A B C dla pełnoletnich dzieci	40

TOM II-gi

Zemsta mlecznego brata, szkic	1
„Za pozwoleniem, ja państwu opowiem bardzo ciekawą historyą“	18
Moja mówka pogrzebowa	27
O dobrem wychowaniu	37
List do redakcyi Biblioteki Warszawskiej i list do Włodzimierza pisany z Noskowa	40
O potrzebie założenia u nas bibliotek i stowarzyszeń agronomicznych w każdym powiecie	52

Emancypacya Sabiny ze stanowiska absolutnego. Komedya w 2-ch aktach 61
Weksel, tragedya w pięciu aktach 129

TOM III-ci

Szkice psychologiczne niektórych ludzi-zwierząt . 1
Listy Jana Skórczykiewicza 16
Gorzkie wspomnienie słodkiej nadziei 33
Przypadek który na własne oczy widziałem w istocie mały, a wielkiego wstydu narobił . . . 79
Człowiek strzela Pan Bóg kule nosi 92
Salon literacki 139

Starozakonny Janklu Magenfisch!

Skutkiem powszechnego nieurodzaju zboża i pomoru bydła uczynione przezemnie ogłoszenie przedpłaty na drugi oddział moich Ramotek pożądanych ze wsi skutków nie przyniosło; obywatele i urzędnicy Warszawscy, **Żydem Wiecznym Tułaczem** *zajęci, o Ramotach zapomnieli; — ci zaś panowie, których pięknym nałogiem było niegdyś zachęcanie rodowych pisarzy obecnie przekonali się, że nie warto swoich wspierać bazgraczy i że daleko przyjemniejszą znajdą rozrywkę w upiększaniu murów i w czytaniu wyłącznie francuskich romansów; — z tych tedy przyczyn byłbym w niemożności drukowania dalszych pism moich, gdyby nie Waszeć, co dwoma tysiącami złp. z umiarkowanym procentem, bo tylko po pięć od sta na miesiąc, przyszedłeś mi w pomoc. Więc też dozwól Waszeć, że nie wielkich panów ale Waszeci imieniem ten drugi oddział moich Ramotek naznaczę i ozdobię.*

Mocno obowiązany autor

Au. Wi.

ch. fil. k. n. k.

P. S. *Com winien, zwrócę na termin.*

Pisałem w Warszawie 1 października 1845 r.

Wielmożny panie Autorze

RAMOTÓW I RAMOTKÓW.

Jeżeli to prawde jest, że pan niema komu swoich Ramotków psypisać, to ja pozwolę, aby mnie psypisywać; tylko sobie będę zamówić, żeby ja zaś nie miał żadnych kosztów z tego racyi, i żeby tego nie było powodem do chybienia którekolwiek raty we wypłatach naszego interesu.

Wielmożnemu Panu i Dobrodzieja
bardzo uniżony sługa

Jankiel Magenfisch.

w mieście Warszawy
7 października 1845 roku.

WIELCE UCZYNNEMU

JANKLOWI MAGENFISCH

WSPIERAJĄCEMU PIŚMIENNICTWO KRAJOWE
W DOWÓD
WŁAŚCIWEJ WDZIĘCZNOŚCI
TEN DRUGI ODDZIAŁ

RAMOT I RAMOTEK LITERACKICH

przypisuję.

Au. Wi.
ch. fil. k. n. k.

331/9/79
60,-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
123418

Biblioteka WSP Kielce
0147112